

PRZEKŁADY JANA KASPROWICZA

XV.

JAN KASPROWICZ

PRZEKŁADY

PRZEKŁADY JANA KASPROWICZA

TOM XV.

WYDAŁ WOJCIECH MEISELS

1931

EURYPIDES

BACHANTKI

RHESOS


PRZEŁOŻYŁ

JAN KASPROWICZ

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

KRAKÓW

WYDAWCA WARSZAWA 1931


<http://rcin.org.pl>

JAN KASPROWICZ

PRZEKAZANIE

RHESSOS

WYDAWCA

JAN KASPROWICZ

INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN

BIBLIOTEKA

60-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 73

Tel. 26-66-63

334/15

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE



<http://rcin.org.pl>

BACHANTKI

OSOBY DRAMATU:

BACHANTKI.

DIONIZOS.

CHÓR BACHANTEK.

TEJREZJAS, wróżbita.

KADMOS, założyciel Teb.

PENTHEUS, król tebański.

SŁUGA.

GONIEC I.

GONIEC II.

AGAWĘ, córka Kadma, matka Pentheja.

Rzecz dzieje się w Tebach.

WYDAWCA: WYDZIAŁ KULTURY I SZKOLNICTWA W KRAKOWIE

DIONIZOS.

A zatem na tebańskie przybyłem zagony,
Ja, Zeusa syn, Dioniz, ongi urodzony
Z Semeli, latorośli Kadmowego domu,
Co zleżała, rozwiązana łyskawicą gromu.
Na ziemskie kształty bożą zmieniwszy urodę,
Mam oto źródła Dyrki i Ismenu wodę,
Grobowiec mej, zabitej od pioruna, matki
I domu królewskiego dymiące ostatki:
Niebieskie jeszcze ognie tlą się w tej ruinie,
Od których, tak się stało, ma rodzica ginie,
Ofiara zemsty Hery. Kadma chwaleń sobie,
Że kazał tak ogrodzić to miejsce przy grobie
Swej córki. I me ręce również osłoniły
Bogatym winogradem świętość tej mogiły.
Rzuciwszy ziemię Lidów, gdzie złota bez końca,
I Frygów, równie Persów, spalone od słońca,
Baktryjskie dalej mury, szare Medów niwy
Za sobą zostawiwszy; przebiegłszy szczęśliwy
Arabji kraj i Azję całą u wybrzeży
Mórz słonych, co basztami pięknych miast się jeży,
Gdzie z tiumem barbarzyńców zmieszały się Greci,
Obrządek mój, me płąsy w tej strefie dalekiej
Zaprowadziwszy wszędzie, by miano w pamięci,
Że jestem bóg, do tego według mojej chęci
Przebyłem naprzód miasta, by tebańskie rzesze,

Nim inny kraj helleński zaprawię w uciecze,
Rozwydrzęć, ciała w skóry przyodziać jelenie,
Dać w ręce tyrs, bluszczowy ten mój belt! Nasienie
Niedobre, siostry matki mojej, co się przecie
Bynajmniej nie godziło, zaczęły po świecie
Rozgłaszać, że Dioniz to nie syn Zeusowy,
Że matka ma, Semele, z Kadmosa namowy
Na bóstwo całą hańbę swojej winy złoży,
Gdy człowiek ją śmiertelny, a nie władca boży,
Zapłodni i że potem — tak ją piętnowały —
Zeus matkę mą uśmiercił za ten wymysł cały.
I dla mnie w tej obeldze dość było powodu,
By zmysły im pomieszać i wypędzić z grodu,
Więc dzisiaj siedzą w górach z obłąkaną duszą
I w godłach moich orgij przystrajać się muszą.
I jaka tylko żyła w tych murach niewiasta,
Musiała precz uciekać z Kadmowego miasta,
Ażebym wszystkie razem, z królewskimi córy
Złączywszy się, bez dachu, na złomiskach góry
Samotnych, opoczystych, wśród zieleni jodły
Swoją żywot obłąkany dziś i zawsze wiodły.
Bo niechaj grodu tego uczują mieszkańce,
Że swą wolą czy wbrew woli, że dotąd o tańce
Bachijskie i obrzędy nie nazbyt się wiele
Troszczyli. Pragnę także i matkę, Semele,
Obronić, gdy się ludziom jako bóg ukaże,
Którego Zeusowi porodziła w darze.
Król Kadmos rządy państwa przelał już w tym czasie
Na syna drugiej córki, Pentheja, ten zasie
Mą boskość lekceważy, w zalewkach nie sprzyja,
W ofiarach i modlitwach. Zobaczy on, czyja
Jest słusność, kto mocniejszy! Żem bóg i że godnie

Należy uczcić boga, chyba udowodnię
I jemu i mieszkańcom jego Teb!... Pod nieba
Zaś inne, zarządziwszy tutaj, co potrzeba,
Wybiore się w te tropy, aby ludziom w ślepie
Zaświecić swą boskością! Zacnie ja przetrzepię
Tych jego Tebańczyków, gdyby wściec się chcieli
I z gór moje bachantki pędzili. Jeżeli
W tej jawie się posturze, jeżeli się z boga
W człowieka przedzierzgnąłem, to na to, by sroga
Spotkała ich nauka: Menady zgromadzę
I huzia! hej! Zobaczą, kto ma tutaj władzę!
Niewiasty! Posłuchajcie! Za moim rozkazem
Od Tmolu, niw lidyjskich strażnicy, wy razem
Przyszłyście tutaj ze mną, wy, moje podróże
Z ziem cudzych wraz dzielące! Frygijskie — a nuże! —
Brac bębny, wynalazek mój i matki Rhei!
Otoczyć dom królewski z poszumem zawiei,
Bić w błony, co tchu starczy, na słychy i dziwy
Kadmosowego miasta! Ja teraz na niwy
Kithajronowe skoczę, w jar, gdzie jest zebrany
Korowód mych bachantek, i puszcze się w tany!

CHÓR.

Azji smug,
Święty Tmol
Opuściłam śród swych dróg,
By mnie słyszał szumny bóg,
By go uczcił okrzyk mój!
W Bacha cześć
Łatwo znieść
Ten nieznojnny, święty znój!

*

Któż tam hej!
W gmachu tym?
Któż mi w drodze stanął mej?
Precz mi z oczu! Milczeć chciej,
Kto tu żyw jest, kto tu zdrów!
Bogu my
Ślemy tchy
Wrzących hymnów, wrzących słów!

* * *

Szczęśliwy, zaiste, człek,
Kto się do służby bożej
Całą swą duszą przyłoży,
Kto, życia swojego bieg
Kierując w góry
Na wtóry
I tańce bachijskie, najradziej
Im oddan, gładzi
Swe grzechy!
Szczęśliwy, kto się weseli
Wraz z nami
Płasami
W cześć wielkiej Macierzy Kybeli.
Kto, pełen szalonej uciechy,
Tyrsos w swą ujmie dłoń,
Bluszczem uwieńczy skroń
I wielbi i chwali
Najdbalej
Dionizową moc!...
Hej-że ku mnie
Thumnie, szumnie
Ty bachantek cizbo mnoga,

Coś szumnego tutaj boga,
Którego sam spłodził bóg,
Od górzystej Frygji dróg
Do helleńskich wiodła smug!...

*

Jakżeż-ci on ujrzał świat? —
Znosząc strasznych bólów siła,
Rodzica go poroniła,
Gdy Zeus z swym piorunem spadł.
I przerażona
Wraz skona
Pod razem straszego gromu.
Lecz z zmarłej domu
Położnej
Kronida Zeus go zabierze
I w biodrze
Przeszczodrze
Obwiódlszy je złotem, by Herze
Z przed ócz go usunąć, ostrożny,
Zamyka dziecię
I, wiecie,
Gdy Mojry porodu czas
Wydzwoniły,
Gromosiły
Zrodził bóstwo, co na czole
Pokazało rogi wole
Oraz wieniec, splecion z żmij:
Stąd, Menado, zbrojna w kij,
Z węzłów sobie warkocz wija!...

* * *

Tebański grodzie mój,
Ojczyście gniazdo Semeli!
Niech się, kto żyw jest, weseli!
W bluszczu leśnego zwój
Každy swe czoło strój!
Strójdzie się, strójdzie się w kwiaty,
W powój, zielenią bogaty,
W gałęzie dębu czy jodły
Na Bacha wesolą modłę!
Skóry zarzućcie jelenie
Na białe z wełny odzienie,
Swywolne chwyciwszy pręty,
Święćcie obyczaj święty,
A wnet, za wami w ślad,
Ruszy się cały świat,
W tan się on puści, w tan,
I ten nasz szumny pan
Do gór powiedzie, do gór
Swój rozpasany chór,
Tam czeka już gawieź radosna,
Od płochy wyżona i krosna
Przez Dioniza-boga!

*

Kuretów schronię, hej!
Zeusa prześwięta kolebo,
O Kreto, skąd się pod niebo
Z leśnych unosił kniej
Wrzask Korybantów, rej
Wiodących w bożej uciezce!
Wszakże-ci ongi ich rzesze,
Strojne w szyszaku trzy kity,

O, ten nasz skórą obity
Krag wynalazły i świetnie
Frygijskie, łagodne fletnie,
Dźwięk ich przesłodki, przemily,
Z jęgo rozhukiem spoily!
Do Rhei-macierzy rąk
Bębenny dały krag,
Ażęby głośniej brzmiał
Święty bachijski szal.
Od niej Satyrów tłum
Wziął go na huk i szum
W to uroczyste trzechlecie,
Ktorem się cieszy na świecie
Wladca nasz Dionizos.

* * *

O, jakiz słodki, rozkoszny to żar,
Gdy, górski rzuciwszy jar —
Kiedy ze skalnej krawędzi
W doliny nasz orszak boży
Pędzi —
Kiedy ta rzesza rozwiozła,
Spragniona wrzającej krwi kozła —
Gdy w niej żywego mięsa glód się aroży,
Kiedy jej pachnie krew,
Do Frygji czy Lydji gór
W splachciu z jelenich skór
Rwie się!
A przed nią po polu, po lesie
Hu! ha! krzyk Bacha się niesie!
I wraz po dolinie, wyżynie
Mleko strugami płynie

I wino płynie w bród
I płynie nektar-miód
I całą wokrag błoń
Syryjska napelnia woń!
I Bachus żywiczne łuczywo
Wyciągnie z swej trzciny co żywo
I, potrząsając ogniami,
Tumani swój orszak i mami,
Do tańców-łamańców
Rwie
W lot!
I głosy w niebiosy
Śle —
Swój zew,
Swe wrzaski hukliwe
Na niwę
Rozlewa.
I bujne swe włosy,
Kędziorów splot,
Na wiatr rozpuszcza, na wiew!
I leje się krzyków ulewa
Po polu,
Przez uroczyska
Kniej:
„Hej! cudna kraso Tmolu,
Co szczerem złotem tryska,
Bachantki moje hej!
O, wy bachantki mel!
Hu!
Chodźcie tu! Chodźcie tu!
By, co tylko starczy tchu,
W Dioniza cześć

Hymn rozgłośny wznieść!
Oszalała w swej ochocie
Przy straszliwym bębnow grzmocie
Oszalałe niech hejnały
Pierś wyrzuca! Oszalały
Chce ją słyszeć bóg!
A frygijskiej, dzikiej burzy,
Łagodząc jej huk,
Niechaj słodki dźwięk zawtórzy —
Niech świętego fletu święta
Płynie nuta i do gór
W ten swój wtór
Mych bachantek wiedzie chór!“
I w te tropy,
Wskrósł przejęta,
Wyrzucając chyże stopy,
Jurna dziewczka, jak źrebięta,
Przy klaczy, swej matce, na łące
Skaczące,
Pędzi za swoim bogiem...

Na scenę wchodzi

TEJREZJAS.

Przy bramie kto? Wywołać Agenora plemię,
Kadmosa, co sydońską porzuciwszy ziemię,
Basztami gród ten zjeżył, obwarował Teby.
Niech idzie kto i powie, że nie bez potrzeby
Tejrezjas chce z nim mówić. Wie, po co się jawię
I w jakiej, stary z starszym, godziłem się sprawić:
Wdziać na się skórę sarnią, tyrs pochwyć w dłonie
I bluszczu latoroślą uwieńczyć swe skronie.

Z domu wychodzi

KADMOS.

Poznałem właśnie głos twój, usłyszałem, panie,
Mądrego iście męża przemądre wezwanie
I, gotów, idę z wszystkim, co potrzeba będzie,
Ażeby według sił swych w świątecznym obrzędzie
Wziąć udział i przyczynić się do pomnożenia
Czci syna mojej córki, co jest dla plemienia
Ludzkiego na świat posłan jako bóg. Więc powiedz,
Gdzie tańczyć mam, na jaki zwrócić się manowiec
I siwą wstrząsać głową. Starszemu ty stary
Przewodź chciej, boś mędrzec. A ja tu bez miary
Bluszczowym będę prętem bił o ziem, zapomnę,
Że starość mi pisana..

TEJREZJAS.

I ja też ogromne

Mam chęci! Odmłodziłem i do piasów stanę.

KADMOS.

Na wozie brać się w góry? Czy to jest wskazane?

TEJREZJAS.

Nie! Mniej byśmy tak bożą uczcili wszechwładzę!

KADMOS.

Więc ja cię tam, człek stary, starca poprowadzę.

TEJREZJAS.

Sam bóg nam dzisiaj drogę bez trudu pokaże.

KADMOS.

Czy miasto weźmie udział w tym bachanckim żarze?

TEJREZJAS.

My jedni mamy rozum, innym on nie służy.

KADMOS.

Więc chwyć się mojej ręki, poco zwlekać dłużej?

TEJREZJAS.

A ty na mem ramieniu oprzyj się i w drogę.

KADMOS.

Śmiertelny człek, bogami gardzić ja nie mogę.

TEJREZJAS.

Tu na nie mędrkowanie! Wszelkie z niebem kwasy
Daremne. Wiary ojców, którą po te czasy
Przez wieki nam przodkowie nasi przekazali,
Nie zniszczy nikt, jej ustaw żaden mózg nie zwali,
Choć pomysł najbystrzejszy znajdzie człek w swej głowie.
Być może: „jesteś stary“, tak niejeden powie,
Lecz ja się tego wcale nie wstydzę, ja w bluszcze
Przystroję skroń i w pląsy serdecznie się puszczę.
Bóg przecież nie przepisał, kto ma iść w zawody
Bachanckie: człowiek stary, czy też tylko młody.
Od wszystkich czi on żąda i nie z lat jedynie,
Nie z liczby ich cześć większa dlań lub mniejsza płynie.

KADMOS.

Ponieważ dnia bożego nie widzisz, więc ja się
Podaję za proroka, mój Tejrezjasie,
I powiem ci, co widzą tej chwili me oczy:
Pospiesznie oto Pentej w stronę zamku kroczy,
Mój wnuk Echionida, któremu oddałem
Swe berło. Cóż mi powie? Jest, jak zdjęty szaleń!

Wszystko

PENTHEUS.

Bawiłem poza domem, powracam do kraju
I słyszę o złym, nowym w tem mieście zwyczajju.
Niewiasty oto nasze porzuciły domy
I, niby szal udając, przepelne oskomy,
W lesistych rozłożyły się górach, płasami
Nowego wielbiąc boga — kim on między nami
Być może — Dioniza. Są pijackie dzbany,
Co chwila ta lub owa w chuci rozpasanej
W ustronne znika miejsce, mężczyznom dogadza.
To znaczy: pod pozorem, że bożego władza
Natchnienia je porywa, niecne białogłowy
Dla Bacha i Kiprydy mają czas gotowy.
Ile ich pochwycono, każda ma już pęta
I w miejskiem jest więzieniu uczciwie zamknięta,
Na te, co jeszcze w górach, urzędę obławę —
Pochwycić każę Ino i matkę Agawę,
Co mnie Echionowi zrodziła i, dalej,
Nic tutaj Antonoy również nie ocali,
Rodzice Aktajona! W żelazne je dyby
Zakuwszy, wnet odwiode od bachanckiej chyby.
Podobno miał z lidyjskiej przybyć tutaj ziemi
Czarownik jakiś, oszust z oczami ciemnymi
O słodkiej barwie wina; jak u Afrodity,
Włos jasny ma, utrefion, w śliczne pukle zwity.
Z dziewczkami on młodemi, ten młodzieniec chwacki,
Przepędza dnie i noce pod pozorem schadzki
Świątecznej na cześć bogów. Jeśli pod tym dachem
Pochwycę go, doprawdy! nie ujdzie li z strachem!
Przestanie on mi stukać o ziemię tyrsosem

I tłumić się po świecie z tym rozwianym włosom,
Gdy leż mu od tułowia oddzieli! Zbyt szczerze
Mieni się Dionizem-bogiem i że w biodrze
Zeusowem był zamknięty, jakkolwiek rzecz znana
Iż z matką padł od ciosu gromowego pana,
Iż zginął od pioruna, gdy ta zaślubiny
Z Zeusem wymyśliła!... Czyż za takie winy
Nie warto go powiesić? Jak on śmie w ten sposób
Natrząsać się swą butą z wszelkich ludzkich osób,
Ten przybysz, kimbykolwiek był... Lecz nowe cuda
Przed sobą mam! Tejrezjas, wieszczek, nakrył uda
Skórkami jeleniemi, a tu — widok rzadki!
Trzymajcie mnie, bo pęknę ze śmiechu!... mej matki
Rodziciel z tyrsem w rękę szaleje! Zaiste!
Człek straci rozum, patrząc na to oczywiste
Błażeństwo! Co? Nie puścisz z ręki tego pręta?
Nie praśniesz tego bluszczu? Rzecz to niepojęta,
Ty, ojczyzno matki!... Czyje to znów bajki?
Tejrezjasa pewnie?... Czy się tobie zdaje,
Że, boga wprowadzając nowego śród ludzi,
Zysk nowy z wróżb mieć będziesz? Że ich znowu złudzi
Twój ogień, czy lot ptaków? Tylko włos twój siwy
Wstrzymuje mnie, że za ten obrzęd niegodziwy
Nie każę z bachantkami wrzucić cię do kaźni!
Obrządek to nicpotem, sam on siebie błażni,
Jeżeli się podwika spija przy biesiadzie.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Ach! Cóż to za bezbożnik! Niebu ty na zdradzie
I plemieniowi Kadma, który rzucił w ziemię
Na mężów siew, ty, ojca Echiona plemię!

TEJREZJAS.

Gdy wążek mądry człowiek znalazł do przemowy,
Nie sztuka być wymownym. Język masz gotowy,
Obrotny, zdaloby się, że jakiś mądrala
Przemawia, lecz rozsądku twego nie zachwała
Ten sposób. Mąż zuchwały, pyskаты, a duży
Co do swojego stanu, jeśli mu nie służy
Rozsądek, złym doradcą będzie swego grodu.
Ten nowy bóg, z którego szydysz bez powodu,
W Helladzie takie miejsce zajmie niepoślednie,
Że brak mi na to słowa! Dwie są rzeczy przednie
Na świecie — wiedz to, synu: Demeter, to znaczy
Mać-ziemia, bo tak zwij ją, albo tak, jak raczy
Twa wola. Suchą strawą karmi ludzi ona,
Zaś ten wynalazł płynny sok winnego grona;
Na rzecz całkiem przeciwną wpadł ów syn Semeli
I ludziom podał środek, który ich weseli,
Rozgrzewa serca biednych, uśmierza ich troski,
Zaciera pamięć dziennych mozołów i boski
Sprowadza sen — pokrótce mówiąc, dobry trunek
Zgotował człowiekowi na wszelki frasunek.
Ba nawet samym bogom leje się w ofierze
To bóstwo... Ciebie, widzę, pusty śmiech tu bierze,
Iż Zeus go zamknął w biodrze. Ja ci to wyjaśnię.
Pokażę ci, że sens jest w tej powieści właśnie:
Gdy Zeus go uratował z ognia swego gromu,
Wziął z sobą go na Olimp, by w niebiańskim domu
Pomiścić swą latorośl, przecież Hera w złości
Wyrzucić chciała dziecię z bożych wysokości.
I Zeus, jako że bogiem jest, miał środek na to:
Z powietrza przejrzystego, które tak bogato
Okrąża naszą ziemię, jakąś cząstkę zrywa

I postać z niej stworzywszy, która była żywa
Z pozoru, da ją Herze, by jej gniew uśmierzyć,
Dioniza zaś ukrył. I lud począł wierzyć,
To z owem pomieszawszy, jak to nieraz szczerze
Zwykł czynić, że swe dziecko Zeus donosił w biodrze
To bóstwo jest i wieszczem, opętanie bowiem
Bachijskie i natchnienie wieszce — to ci powiem —
Z wspólnego płyną źródła — szal mają prorocy;
Bo kogo, mówię, bóg ten przeniknie, ten zoczy
Przed sobą i obwieści nam przeszłość. I z wojną
Jest również w jakimś związku to bóstwo; wszak zbrojną
Rozprasza nieraz ciźbę niewymowna trwoga,
Nim chwycił broń przeciwnik. I to dziełem boga —
Od Dioniza idzie szal lęku! O, jeszcze
Śród skał delfickich ujrzysz ono bóstwo wieszce,
Jak w blasku swej pochodni będzie brał dwie turnie,
Tyrososem potrząsając, niosący się górnie
Ten możny pan Hellady! Przeto, Pentheusie,
Nie dawaj-że się dumnej porywać pokusie
I nie myśl, że kto królem, ten jest wszystkim w świecie!
A jeśliś tego zdania. a zdanie to przecie
Jest fałszem, ty za mędrca się nie miej! W swe kraje
Nowego przyjmij boga i jego zwyczaje:
Ofiary i obiady składaj mu, swe czoło
Wieniec bluszczem i w bachijskie rad pospieszaj koło.
Nie Dioniza rzeczą, wierzaj, uczyć sromu
Niewiasty, gdy Kipryda zagości w ich domu.
Wstydlivość zawsze bywa wrodzoną i szaly
Bachijskie jeszcze żadnej z nich nie zepsowały,
Jeżeli były skromne z natury. Należy
Pamiętać o tem zawsze! A gdy do twych dźwierz
Tłum ciśnie się, Pentheju, gdy twoje nazwisko

Rozbrzmiewa naokoło zdaleka i blisko,
Czy ty się nie radujesz? Więc i on się cieszy,
Tak mniemam, gdy się spotka z czią u ludzkiej rzeszy.
Więc ja, a ze mną Kadmos, z którego tak szydzisz,
Pójdziemy dzisiaj w płasy: ty nam nie obrzydzisz
Ni bluszczu ani tańca, choć siwa z nas para!
Nie myślę walczyć z bogiem, choć mnie pchnąć się stara
Do tego twa namowa!... Szalejesz, człowieku!
Nic ciebie nie uleczy choć nie ujdiesz leku!

PRZODOWNICA CHÓRU (do Tejrezjas).

W Fojbosie słowa twoje nie obudzą wstretu,
Bożego Rozwicherńca choć folgujesz świętu.

KADMOS.

Syneczku mój! Tejrezjas dobre-ć dał przestrogi!
Bądź z nami i zakonu nie opuszczaj drogi.
Dziś skrzydła cię ponoszą i, jakkolwiek sądzisz,
Że rozum masz, w rozumie swoim wielce błądzisz.
Jeśli on nie jest bogiem, jak pleciesz, wmów w siebie
I krztynę pięknie pokłam, że nim jest — w potrzebie
Wszak warto się połudzić: Bóg to, choć Semele
Zrodziła go, świat mówi. I owszem, stąd wiele
Zaszczytu spada dzisiaj na nasz ród! A, proszę,
Pamiętaj, jakie sobie zgotował rozkosze
Aktajon! Toć psy własne, które sam wychował,
Rozdarły go na strzępy, bo wrzeszczał do pował
Niebieskich w swojej pysze, że w myśliwskiej sztuce
Bieglejszy, niż Artemis. Ażebyś nauce
Tej samej dziś nie uległ, bluszczem uwieńcz czoło,
Naszego uczcij boga, w nasze pospiesz koło.

PENTHEUS.

Precz z ręką tą! Idź, szalej, ile masz ochoty,
Lecz o mnie nie obcieraj tej swojej głupoty.
A mistrz twój, nauczyciel tej blażeńskiej nędzy,
Ten będzie miał się zpyszna!... (Do służby):

Niechże mi coprędzej

Pobiegnie kto do domu tego oto kpiarza,
O, tam, gdzie ten nasz wieszczek na lot ptaków zważa,
Uczciwym niech mu drągiem wszystko, jeśli łaska,
Połamie, pogruchoce, pobije, potrzaska!
Niech wszystko mu wywróci do góry nogami,
Niech bindy księżę z wiatrem mu puści! Nie zmami
Nikogo już ten szalbierz! Będzie miał za swoje —
Najlepsza to jest kara, o to się nie boję!
Wy idźcie na prześpiegi! Włócząc się po mieście,
Ujrzycie może dudka, włóczęgę, niewieście
Podobniejszego raczej, co w niewiasty wpaja
Nieznaną dotąd sprośność! Schwycicie mi hultaja,
Porubstwo szerzącego, spętać, przywieść do mnie,
Na śmierć ukamienować! Gorzko to ogromnie —
Przekona się — w mych Tebach siać bachantek szały!

TEJREZJAS.

Zuchwalcze! Sam ty nie wiesz, co mówisz! O, mały
Tyś zawsze miewał rozum, lecz dziś go już docna
Straciłeś! Chodź, Kadmosie! Może i owocna
Modlitwa nasza będzie za twojego wnuka,
Jakkolwiek nazbyt czelnie guza sobie szuka,
I za to miasto nasze, ażeby bóg na nie
Jakiego zła nie zesłał. Teraz ze mną, panie,
Z bluszczowym prętem w ręku! Wspierajmy się wzajem,
Ty mnie, a ja zaś ciebie. Nie żadnym to rajem

Tak w drodze paść dwom starcom! Wstyd! Lecz mniejsza
Bachowi, Zeusowemu dziecku, słuź, ochoto! [o to!
Bodajby dom twój, Kadmie, nie doznał strapienia
Przez tego utra pieńca. Nie z jasnowiedzenia
To mówię, jeno z rzeczy, tak, jak jest! Rozpęta
Twój Penthej zło, gdyż głupcom w głupocie przynęta!

(Wychodzą).

CHÓR.

O zbożności boska ty,
Co nad ziemski wlatasz łąn
Na złocistem skrzydle swem!
Słyszysz, jak niezbożnym tchem
Penthej, z zgubnej pychy znan,
Szumnego nam boga lży?
O, tego syna Semeli,
Który się pierwszy weseli,
Który jest zawsze na przedzie
Przy bogów radosnej,
Strojnej w zieleń wiosny
Biesiedzie.
Albowiem dobrze się wiedzie
Na świecie,
Kiedy przy flecie
Taneczne pływają grona,
Gdy dusza od troski zwolniona,
Snać kona
Z radości —
Kiedy niebiańskich ucztujących gości
Wrzący rozpali sok,
Z winnych wyciśnion tłók —
Kiedy wśród ludzi, zdobnych w bluszczu wian,

I puhar krąży i dzban,
Gdy jego władza
Sen na powieki sprowadza.

*

Co wędziła nie chciał znać,
Sprośny język, już on szczeczł!
Człek zbrodniczy, czelny człek,
Co wyrzuca bluźnierstw stek,
Rychło smutny znajdzie kres.
Za to skromna, cicha brać,
Co, żyjąc zawsze roztropnie,
Przenigdy prawa nie kopnie,
Ta w łasce żyje dużej;

Nie uderzy srogi
Grom w jej domu progi,
Nie zburzy!
Boć przecie widzą z swej stróży —

Niebiosów
Ci naszych losów
Szafarze, choć tak zdaleka,
Wszelakie czyny człowieka!

I rzeka!

Rozumu

Nie zawsze będzie rozumem! Śród tłumu

Śmiertelnych ciał

Bóg żyć nam krótko dał.

Kto zbyt się górnie pnie, ten nie wie snąć,

Co daje mu Ziemia-mać!

Tylko szaleniec

Po taki tu sięga wieniec!

* * *

Na Cypru podążyć mi brzeg.
Na Afrodyty ostrowie,
Gdzie słodcy miłości bożkowie
Czarami ludzi tumanią,
Być mi po wiek!
Albo podążyć mi na nią,
Na oną ziemię stu rzek,
Które swą rosą
Owoce niosą
Łanom, ginącym w spiekociel...
Na pierydzkie mnie płoski,
Błyszczące w słonecznym złocie,
Do stóp Olimpu, gdzie Muzy
Niebiosów blisko
Swe zbudowały siedlisko,
Wiedź, Rozwicherzeńce ty boski!
Radosnych okrzyków śluzy
Wraz ze mną rzuć —
Szumny, szumiący tyś bóg —
Na ten rozkoszny smug!
Tam są Charyty, tam tężna jest Chuć,
Tam orgij bachajskich zakon!

*

Zeusowa latorośl, nasz król,
Lubi ucztować przy winie,
Kocha Pokoju boginię,
Pomnożycielkę narodu,
Tę krasę pól,
Ludzi chroniącą od głodu!
Wszelkiego człeka on ból

Słodkim napojem, Rozkoszy zdrojem
Uśmierza! Rad-ci on raczy
Tym życiodajnym puharem
I biedny lud i bogaczy.
Lecz temu wieści on zgubę,
Kto z chmurnem czołem
Nie zechce w gronie wesołem
Bawić się uciech bezmiarem
W te jasne dni i w te lube
Przytulne noce! Hej!
Precz z mądralami, precz!
Dobra jedynie jest rzecz,
Którą uprawia lud w mądrości swej —
I ja sobie ją cenię!

Związane prowadząc Dionizosa, na scenę wchodzi

ŚLUGA.

Pentheju! Już jesteśmy! Jest i łup gotowy,
Po który nas wysłałeś. Niedaremne łowy!
Lecz zwierz to oswojony, żadnym nas kłopotem
Bynajmniej nie obarczył, ani myślał o tem,
Ażeby nam się wymknąć, owszem najłaskawiej
Dał ręce sobie związać, rzekłbyś, że się bawi,
Bo nie zbladł, bo na liczku nie stracił rumieńca,
Bo śmiał się, gdyśmy mieli odprowadzać jeńca,
Bo w miejscu stał, tę naszą ułatwiając pracę.
Więc mówię mu pokornie: „Przybyszu! Niech stracę,
Lecz powiem ci, że brać cię nie mam żadnej chęci,
Jednakże Penthej kazał, niech się przeto święci
Ta wola mego pana...” A one kobiety,
Coś zgonił je i spętał i zamknął, o rety!

Uciekły precz z furdygi na łęgi, do lasa,
Gdzie cała ich gromada i huka i hasa
Na cześć szumnego boga! Z nóg im spadły dyby
I wszystkie drzwi i zamki, mówię to bez chyby,
Otwarły się, choć ręka ludzka ich nie tknęła.
Takie to w naszych Tebach cuda, takie dzieła
Ot! człowiek ten dziś spełnia. Co tu czynić dalej,
Już twoja to jest sprawa, my swoje zdziałali.

PENTHEUS.

Rozwiązać mu te ręce! Bo jestem ostatni,
Ażeby mógł się dzisiaj wymknąć z naszej matni —
Nie! rady temu nie da!... Juści liczko twoje
Gładziuchne! Jak stworzone dla podwik! gdyż stoję
Przy prawdzie, żeś się dla nich przywłókl w nasze Teby!
Kędziorki arcydługie, chyba nie z potrzeby
Boiska tak się pięknie wydłużyły tobie,
Falując wokół szyi w ponętnej ozdobie.
I cera arcybiała, nie z słońca promieni
Zbielała ci gorących, jeno w chłodnej cieni —
Snać myślisz Afrodytę przesadzić w piękności!
Lecz naprzód mów, co zacz ty, kto tu przyszedł w gości?

DIONIZOS.

Nie trzeba samochwalby! Odpowiedź nie trudna:
Wiesz może, gdzie jest Tmolu okolica cudna?

PENTHEUS.

Wiem, owszem, miasto Sardes otacza dokoła.

DIONIZOS.

Ja stamtąd, ma ojczyzna to Lydja wesola.

PENTHEUS.

Wprowadzasz nowy obrzęd, któż to ciebie zmusza?

DIONIZOS.

Dioniz mi nakazał, latorośl Zeusza.

PENTHEUS.

Więc Zeus tam jakiś nowy bóstwa nowe tworzy?

DIONIZOS.

Nie! Ten, który z Semelą obcował, król boży!

PENTHEUS.

Czy we śnie ci nakazał, czyli też na jawie?

DIONIZOS.

Twarz w twarz mi on polecił służyć świętej sprawie.

PENTHEUS.

A na czemże polega istota obrządku?

DIONIZOS.

Człek niewtajemniczony nie śmie znać jej wątku.

PENTHEUS.

Jest jaka na obrządku tym korzyść oparta?

DIONIZOS.

Nie wolno-ć tego wiedzieć, choć rzecz wiedzy warta.

PENTHEUS.

Wykręcasz mi się chytrze, a mnie świerzbią uszy.

DIONIZOS.

Bachijskie tajemnice nie dla grzesznej duszy.

PENTHEUS.

Widziałeś, mówisz, Zeusa. Jakżeż on wyglądał?

DIONIZOS.

Jak chciał, a nie bynajmniej, jakbym ja pożądał.

PENTHEUS.

I znowu się wywijasz! Któż za to co kupi?!

DIONIZOS.

Ktoś mądry dla głupiego zawsze będzie głupi.

PENTHEUS.

Czyś najprzód do nas przybył z orgjami swemi?

DIONIZOS.

Obchodzą je we wszystkiej niehelleńskiej ziemi.

PENTHEUS.

Mniej mają smac̄ rozumu, niżli nasze kraje.

DIONIZOS.

W tym względie chyba więcej. Inne tam zwyczaje.

PENTHEUS.

Czy za dnia się to wszystko odbywa, czy w nocy?

DIONIZOS.

Przeważnie w nocy, mroki mają więcej mocy.

PENTHEUS.

Dla kobiet niebezpieczna to pora i zdrożna.

DIONIZOS.

Sposobność dla zdrożności i w dzień znaleźć można.

PENTHEUS.

O, gorzko mi zapłacisz za swoje wykrety!

DIONIZOS.

A ty za swą głupotę, za swój szal nieświęty!

PENTHEUS.

O, ówik i frant ten Bachus, a czelny bez miary!

DIONIZOS.

Czem myślisz mi dogodzić? Jakie zadać kary?

PENTHEUS.

Nasamprzód tej cię bujnej pozbawię czupryny.

DIONIZOS.

Nie tykaj! Prawo do niej ma li bóg jedyny.

PENTHEUS.

A potem thyrś ten oddasz, który dzierżysz w dłoni.

DIONIZOS.

Sam wydrzej Dioniza własność! Niech się broni!

PENTHEUS.

A potem ot! do ciupy każę zamknąć ciebie.

DIONIZOS.

Jeżeli ja tak zechcę, bóg z ciupy wygrzebie.

PENTHEUS.

Popróbuj go wywołać z pośród twej czeredy!

DIONIZOS.

On przy mnie tu jest blisko, widzi moje biedy.

PENTHEUS.

Gdzie? Gdzie? On swym widokiem oczu mych nie darzy!

DIONIZOS.

Lecz moje! Niewidzialny jest on dla zbrodniarzy!

PENTHEUS.

Hej! Bierz go! Szydź z mnie i z Teb! Bierz go! Okuj!

DIONIZOS.

Roztropny, nieroztropnym mówię: Dajcie spokój!

PENTHEUS.

A ja powiadam: Bierz go! Ja tu większy przecie.

DIONIZOS.

Sam nie wiesz, co poczynasz i kim ty na świecie!

PENTHEUS.

Penthejem, Echiona synem i Agawy.

DIONIZOS.

Twe imię już wskazuje, że dla cię laskawy

Nie będzie los.

PENTHEUS.

Hej! Precz z nim! A przy końskim żłobie
Przywiązać go, by w cieniu mógł zatańczyć sobie!
Zaś te (*Wskaz. na Chór*), któreś tu przywiódł, uczestniczki
[zbrodni,
Wysprzedam, albo, jeśli będzie mi dogodniej,
Od bębna odzwyczaję i — to nie przelewki! —
Do krosien je przystawię, jako proste dziewczki.

DIONIZOS.

Idę... A juści tego znośić ja nie muszę,
Do czego mnie nie zmuszą. Lecz za te katusze,
Za szyd ten Dionizos dobrze ci zapłaci.
Zaprzeczać chcesz istocie tej bożej postaci,
Więc będziesz musiał cierpieć! Mówiąc najwyraźniej:
Krzywdzący mnie, ty boga zamykasz w swej kaźni!

CHÓR.

Acheloa córko, słysz!
Ty dziewicza Dirko święta!
Dobrze o tem świat pamięta,
Jakoś ongi w fal objęcia
Zamykała kształt dziecięcia —
W uścisk wód —
Gdy je rodzic jego, bóg,
Z wieczystego ognia smug
Jednym tchem
Uratował, w biodrze swem
Zamykając boży płód!
Rzekł mu wtedy:
Od tej biedy,
Od tej klęski

Zwoli cię mój żywot męski,
Dithyrambie, wstąp-że weń —
Pod tem bowiem Bacha mianem
Ma być w Tebach odtąd znanem
Twe istnienie!“

Dziś mnie ty usuwasz w cień,
Dziś mną gardzisz, Dirko luba,
Dziś za ziemi swojej krańce
Precz mnie pędzisz i me tańce,
Moje bluszcze i mój pręt.
Na co ci ta moja zguba?
Skąd ci wziął się dziś ten wstręt?
Czemu mnie twa ręka żenie
Z twoich granic precz, ach! precz?
O, na jagód winnych ciecz,
Na Dioniza słodki płyn,
Jeszcze-ć Bromjos, boży syn,
Będzie ci przedrogi!

*

Co za złość to, co za złość!
Jakże mi się strasznie mroczy
Ten ze siejby zrodzon smoczey
Król Pentheus, Echioma,
Syna ziemi, krew rodzona!
Snać nie ludzki to jest twór,
Jeno potwór, jeno dziw,
Jakby nie był z ziemskich niw!
Czem dlań bóg?
Nieb krwiożerczy to jest wróg!
On niebawem
W źle swem krwawem

Bez ochyby
I mnie każde zakuć w dyby,
Tak nim szarpie sroga chuć!
Już mojego wodzireja
Więzi w domu tym Pentheja
Zmrok ponury,
Zwróć-że dziś swe oczy, zwróć,
Dionizie, synu boży,
W jakiej twoi dziś prorocy
Przeokrutnej są przemocy!
Zjaw się ku nam dzisiaj, zjaw,
Bo niedola dziś się sroży,
Chce nas zbawić naszych praw!
Z olimpijskiej przybądź góry,
Ty, co w ręku dzierzysz kij
Złotooki! Oto zmij,
Oto jest ten straszny smok,
Co wyniszczył chce nasz tłok!
Ukróć jego pychę!

* * *
Zali na Nysie, gdzie pośród swych leż
Mnogi się gnieździ zwierz,
Odprawiasz swe korowody,
Nasz Dionizie młody?
A może kipi twój szal
Pośród koryckich skał?
Lub też w Olimpu komorach,
Skrzytych w cienistych borach,
Gdzie Orfeusza zew,
Lutni czarowny ton,
Ze wszystkich przynaglił stron

Zielony kłody
Drzew
I zwierza wszelaki plód,
Że je za sobą wiódl,
Że wszystkie za nim szły,
Dźwięcznymi wabione tchy?!
O pierydzka kraino!

A ino ci patrzeć, a ino,
Jak stanie na twojej glebie
Ten szumny nasz pan, czczący ciebie!

Jak na bachantek czele
Zjawi się tutaj, wesele
Niosąc rozkoszne — o haj!,
Menady prowadząc swoje

Przez Aksjosa zdroje,
Przez Lydjasa brody
Spłynie w ten kraj!
Swe tu skieruje kroki

Przez rwiste,
Szkliste

Potoki,
Co, niby, dobrzy rodzice,
Żywią i rzeźwią ziemice —

Tak mi mówiono —,
Te pono
Wielce bogate w konie,
Nie zwiędłe nigdy błoniel!...

Z wewnątrz woła.

DIONIZOS.

O haj! O haj!
O słysz mnie, znaj!

Bachantek chór!
A gdzie twój wtór?!
Słysz! Znaj!
O haj!...

JEDNA Z CHÓRU.

Cóż to? cóż? Skąd ten głos, tak mi znan?!
Czyż mnie woła szumny pan?

DIONIZOS.

Haj! O haj! Znów wołam, znów!
Chów Semeli, Zeusa chów!

DRUGA Z CHÓRU.

O haj! O haj! O panie wielki!
Twoje czcicielki
Proszą cię, szumny ty boże,
Byś się pojawił w ich zborze!...

INNA Z CHÓRU.

Sza! moje druhy! Ziemia się porusza!
Ach! Ach!
Ten Pentheusza
Królewski gmach
W proch się rozpada, w kupy
Gruzu i złomu!

INNA Z CHÓRU.

Dioniz jest w jego domu!
Cześć mu oddajcie modłami!

CHÓR.

Już oddajemy!

JEDNA Z CHÓRU.

Przed nami
Kamienne pękają słupy
Niebawem z pod tego dachu
Głos się triumfu, nie strachu,
Podniesie z warg!

DIONIZOS (z wewnątrz).

Rozniećcie, rozniećcie się godnie,
Gromu ogniście pochodnie!
Spalże mi, spalże mi docna
Dom ten, o iskro ty mocna!

INNA Z CHÓRU.

Ach! ach!
Zali nie widzisz — strach! —,
Jak się ten płomień ścieli
Nad świętym grobem Semeli?
Pożar to, luna
Z Zeusowego pioruna,
Który pozostał po niej,
Kiedy ją gromem z swej dłoni
Uśmiercał możny Bóg!
Zginać-że, zginać kolana!
Nie szczędzić trzęsących się nóg!
Rzucać na ziemię, na ziemię
To ciała przechwiejne brzemię,
Bo oto już ku nam, Menady,
Po zgłiszczach i gruzach nasz władcy
Zbliża się, zbliża pan!

Z ruin płonącego pałacu wychodzi

DIONIZOS.

Cudzoziemskie wy niewiasty! A więc taka trwoga trwóg
O tę ziemię wasz rzuciła, powaliła z drżących nóg?!
Snać dlatego, tak się zdaje, że czułyście, jak ten gmach
Penthejowy w gruz rozrzucił, jak go w pył rozkruszał Bach!
Teraz wstańcie! Wypogóźcie przerażoną, bladą twarz!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Ty w bachanckich korowodach najprzedniejszy wodzu nasz!
Jak ja rada, widząc ciebie, w tej samotnej pustce, och!

DIONIZOS.

Ogarnęło cię zwątpienie z oną chwilą, gdy mnie w loch
Prowadzono, gdy mnie Penthej kazał zepchnąć w kaźni mrok!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Tak! Bo jeśli szwank byś poniósł, któżby mój prowadził
[krok?

Ale powiedz, jak uszedłeś z tych więziennych łotra bram?

DIONIZOS.

Bez mozołu, bez wysiłku ocaliłem się ja sam.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Jakto? Zali cię nie spętał? Nie skrępował ci tych rąk?

DIONIZOS.

I tu sobie pokpiewałem z jego trudów, z jego mąk —
Zdało mu się, że mnie wiąże, że mnie w mocy swojej ma,
Że dotyka mych się członków, lecz nadzieja była czeza!
Byka dopadł przy korycie, gdzie przytroczyć mnie on chciał,
Jął kolana mi krępować i racice, jak na schwał!

Tchu mu zbrakło, sapał, zgrzytał, z ciała potu ciekł ku zdrój,
Wargi do krwi gryzł zębami! Nie wołałem doń: „A stój!“,
Jenom cicho siedział przy nim, patrząc na to. W tenże czas
Przybył Bachus, wstrząsnął domem, ciężki mu wymierzył

[raz,

Z grobu matki swej wyrzucił płomienisty ognia słup!
I Pentheus, zobaczywszy ten płonący święty grób,
Mniemał, że mu dom się pali, że zniweczon jego próg,
Jął się rzucać na wsze strony, tu i tam, i do swych sług
Począł krzyczeć na ratunek, Acheloa, widać głąb
Chciał wyczerpać: kto żyw tylko, pod zamkowy przybiegł

[zrąb —

Nadaremnie! I on również, myśląc, że to płona rzecz,
Przestał bawić się ratunkiem, jeno goły chwycił miecz
I do wnętrza wpadł. Śnać bał się, że mu jeszcze mogę zbiec.
Wówczas Bromjos, tak przypuszczam, gdy ten zaczął kłuć

[i siec

W myśli, że tak mnie on siecze, podsunął mu twór ze mgieł:
Wydało się Penthejowi, że mnie sobie wziął na kiel,
A on w próżnię ciął przejrzystą! Nie dość, że go Bach tak

[zwiódl,

Jeszcze on się stał dla niego sprawcą innych, wielkich szkód:
Pałac w gruzy mu rozsadził, w perzynę obrócił dom
Z bólu, że mnie ujrzał w pętach, że mnie spotkał taki srom!
I on upadł ze zmęczenia, rzucił płony miecz o ziem —
On, śmiertelny, słaby człowiek, co w zuchwalstwie począł

[swem

Toczyć walkę z samym bogiem! I spokojnie, jakby nic,
O Pentheja się nie troszcząc, ja u waszych staję lic.
Lecz zda mi się, że to jego skrzypią kierpce — jakby szedł
Tutaj do nas! O, zapewne, wnet on zjawi się tu, wnet!
Ciekaw jestem, co też powie na to wszystko ten nasz gość?

Choćby z złości on aż dyszał, ja wytrzymam jego złość.
Boć do tego, tak powiadam, każdy w życiu swoim dąż,
Że łagodnym, powściągliwym winien być roztropny mąż.

Wchodzi

PENTHEUS.

Straszliwie mnie okpiono! Uciekł przybysz szczwany,
Któregom w pętach rzucił we więzienne ściany.
A niech go! Co ja widzę! Tyś tu?! Jaką drogę
Wybrałeś, by zbiec z lochu? Zrozumieć nie mogę!

DIONIZOS.

Nie ruszaj się, daj spokój! Mówię-ć po przyjaźni!

PENTHEUS.

Powtarzam: Jak spętany uciekłeś z mej kaźni?

DIONIZOS.

Azalim ci nie mówił, że mnie ktoś odkupi?

PENTHEUS.

Kto taki? O, w wykrętach nigdyś nie był głupil!

DIONIZOS.

Ten, który stworzył wino dla duszy człowieczej.

PENTHEUS.

Dionizosa hańbisz, mówiąc takie rzeczy.

DIONIZOS.

Którego między sobą w tym tu grodzie mamy?

PENTHEUS.

Rozkażę zamknąć baszty, wszystkie wokół bramy.

DIONIZOS.

Przez mury czyż nie mogą przejść mieszkańcy nieba?

PENTHEUS.

Mądrala-ś, o mądrala, lecz nie tam, gdzie trzeba!

DIONIZOS.

Przeciwnie! Gdzie największa konieczność, tam w głowie
Swą mądrość mam! Lecz słuchaj, co ci człek ten powie.
Z gór właśnie ci przynosi jakowąś nowinę.

Jawi się

GONIEC.

Tebański władco, królu Pentheju! Przychodzę
Od szczytów Kithajronu, ośnieżonych srodze,
Gdzie nigdy skrzącej bieli powłoka nie gaśnie.

PENTHEUS.

A z jakąż ważną wieścią przychodzisz tu właśnie?

GONIEC.

Bachantki zobaczywszy, co uszły z tej ziemi,
Jak gdyby gzem pędzone, nóżkami białemi
Bez tchu wyrzucające, chcę, jeśli się uda,
I tobie i ludowi opowiedzieć cuda,
Te wszystkie niesłychane ponad wyraz dziwy,
Którymi napelniają kithajrońskie niwy.
Lecz pragnę wprzód usłyszeć, jak mi się należy
Przemawiać: powściągliwie, czy też jak najszczerzej.

Popędliwości twojej me serce się lęka
I twego majestatu.

PENTHEUS.

Nie bój się! Ma ręka
Bynajmniej cię nie skrzywdzi. Im dziwniejsze rzeczy
Opowiesz o bachantkach, w tem większej ja pieczy
Mieć będę tego franta. Najsroźsza niech kara
Na czleka dzisiaj spadnie, który tak się stara
Przewracać mózgi kobiet rzemiosłem obrzydłem.

GONIEC.

We wierchy-m właśnie wchodził razem z swem bydłem,
W godzinie, gdy już ziemia słońcem rozpalona.
Wtem widzę tam! na hali trzy niewieście grona.
Jednemu przewodziła Autonoe, wiecie,
Drugiemu twoja matka Agawe, zaś trzecie
Ku miejscu temu ino przywiodła. Ujrzałem,
Iż wielkie utrudzenie owładło ich ciałem,
Albowiem sen je zmorzył. Jedne z nich pod sosną
O gałąź grzbiet oparły, a zaś drugie posną,
Za pościel mając one listeczki dębowe.
Leżały, obyczajnie przechyliwszy głowę,
A nie, jak ty powiadasz, pijane: Przy dzbanie
I flecie nie hulaly te czcigodne panie —
To widać —, aby potem cichej szukać w lesie
Ustroni, dokąd miłość pożądliva rwie się.
I matka twa, stojąca wśród bachantek rzeszy,
Ryk bydła usłyszawszy, strasznie się ucieszy,
Radosny wyda okrzyk, by zbudzić uspione
Niewiasty. I odrazu zerwały się one
Na nogi, sen z swych powiek spędziwszy głęboki.

bachantki

Skromności obyczajnej widok nad widoki!
Kobiety już podeszły i dziewic gromada:
Nasamprzód każda włos swój odgarnie, co spada
Na białe im ramiona, a potem jelenie,
Pstrokate porządkować rozpoczną odzienie,
Jeśli się rozplątały gdzie węzły, a wreszcie
Wężami, liżącymi policzki niewieście,
Przepaszą one skórki. A potem na ręce
Sarniuki lub też wilczki wezmą i jarzące
Z wezbranych jeszcze piersi dają ssać im mleko —
Te, które po połogu jeszcze niedaleko,
Swe własne niemowlęta rzuciły. Wesolo
Bluszczami i powojem uwieńczą swe czoło
I liśćmi dębowemi, a jedna z gromady
O skalną ścianę thysem uderzy. W te ślady
Zdrój wody z niej wytrysnął. A zaś kiedy druga
Dotknęła zapalicką ziemi, wina struga
Spłynęła jej za boską przyczyną. Bez znoju,
Gdy której się białego zachciało napoju,
Świeżutkie miała mleko, rękami wåtlemi
Co nieco pogrzebawszy po powierzchni ziemi.
Miód sphywał przeobficie z thyrsosej laski.
Ach! gdybyś ty był widział te oznaki łaski,
Pomodliłbyś się bóstwu, któremu dziś wzgardę
Niewczesną okazuje twoje serce twarde.
Zeszliśmy się więc owiec i wołów pasterze, —
By spór pomiędzy sobą wszczać, skąd się też bierze
To wszystko — takie dziwy, takie straszne cuda!
I jeden w naszym gronie, włóczykij-paskuda
I krzykacz, miejskich kątów wycieracz, tak powie,
Tak ozwie się do wszystkich: „Ślawetni bacowie,
Tych górskich hał mieszkające! Tak na dobrą sprawę,

To moglibyśmy tutaj przyłapać Agawę,
Pentheja mać rodzoną, co się z zgrają włóczy
Bachantek! Myślę sobie, że król nas utuczy
Z wdzięczności...“ Tak on pedział. I nam się wydało,
Że pedział całkiem godnie! Przyjęli my śmiało
Tę radę i odrazu skrył się jaki-taki
W zarośla. Czekaliśmy, zaszywszy się w krzaki.
Wtem nagle, gdy czas przyszedł, thyrsy się podniosły
Do góry, krzyk się zerwał, jak gdyby wyrosły
Z pod ziemi, znak, że obrzęd się począł. Gardziele
Rozbrzmiały sławą Bacha: „Hej-że, hej! Wesele
I radość z tobą, synu Zeusa, szumny boże!“
I wszystko się ruszyło co tylko na dworze —
Ozwały się im góry, wybiegły zwierzęta.
W tej chwili, tuż koło mnie, śnać szaleństwem zdjęta,
Przemknęła się Agawę i ja wraz się ruszę
Z gęstwiny, gdzie się ukrył, pojmać chcę tę duszę.
Lecz ona jak nie huknie: „Hej! charcice moje!
Polują na nas ludzie! sam tu! Bierzcie zbroję —
Thyrsowy kij i sam tu! sam tu!“ Niewątpliwie
Byłyby nas rozdarły na tej leśnej niwie
Bachantki, ale wczas my uciekli. Zaś gorzej
Wypadło naszym stadom. Zgraja się rozsroży
I chociaż w rękę żadnej nie posiada stali,
Na bydło wraz się rzuci, co trawę na hali
Szczypało. O, powiadam, straszne byś tam rzeczy
Zobaczył! Tutaj cię żałośliwie beczy,
Dostatnio wykarmione: bachantka je srogo
Rozdziera na połowy, a tam znowu mnogo
Krów poszło, scharatanych na kęsy! Tu leżą
To żebra, to racice, krwią oblane świeżą,
Krew cieknie z świerków, z jodeł, na które kawały

Poszarpanego mięsa rzucał oszalały
Tłum niewiast. Nawet byki, w róg swój dufające,
O ziem runęły cielskiem, kiedy rąk tysiące
Tych młódek opętanych strasznie na nie parły.
A prędej one skórę z biednych zwierząt zdarły,
Niż ty królewskich oczu zmrużyłbyś powieki.
Rozściele onych równin nad brzegami rzeki
Azopa, kłos rodzące dla twych Teb bogaty,
Na skrzydłach niby ptasich przeleciały, straty
Ogromne wyrządzając. W swej złości zajadłej
Do dolin kithajrońskich, do Erytry wpadły
I Hyzji; niby wrogі, zniszczyły dobytek,
Porządek wywracając i ład burząc wszytek.
Nie przepuścili dzieciom: Na barki je kładły,
Rabując, lecz na ziemię przecież nie upadły
Biedactwa, chociaż nikt nie przytroczył... Stali
Ni spiżu, tylko w włosach ogień, co nie pali.
I oto, na te krwawe oburzeni tańce,
Za broń chwycili krajów zniszczonych mieszkańce.
O, dziw to był nad dziwy patrzeć, co się działo!
Na grotы niewrażliwe onych kobiet ciało,
Lecz one, potrząsając thyrsovymi pręty,
Niezwyczajnie pośród mężczyzn sprawiały zamęty —
Zaiste, nie bez woli jakowego boga,
Niewiasty do ucieczki przymuszały wroga,
Huf mężów zbrojnych zmogły! Tak było! Z powrotem
Na dawne swoje miejsca wybrały się potem.
Do źródeł, które bóg im otworzył, w tej samej
Krynicy krew obmyły, zasię skrzepłe plamy
Na gębach język węzów im zlizał. O, panie!
Kimkolwiek-ci jest bóg ten. ty go na swym łanie
Powitaj, wwiedź do miasta, gdyż i w innym względzie

Potężny jest, jak głosi powszechne orędzie:
Winograd dał on ludziom, co uśmierza troski,
A kiedy niema wina, niema też i boskiej
Miłości ani innej pociechy na świecie.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Z władcami mówić szczerze, rzecz to groźna! Przecie
Wypowiem, co mam w myśli: Nasz Dioniz drogi
Tak samo hóg jest wielki, jak i inne bogi!

PENTHEUS.

Już widzę ja, że pożar tej bachanckiej buty
Ogarnie nas niebawem. Wstyd dla Grecji luty!
Tu niema już co zwlekać! Gonić mi do bramy
Elektry! Tarczownicy, jakich tutaj mamy,
I ci, co chyżonogich dosiadują koni,
I ludzie ci od łuku i od lekkiej broni,
I ci, którzy włóczniami rzucają z rzemieńca,
Co tchu niechaj się zbiorą! Ruszamy po jeńca,
Na wojnę z bachantkami! Przechodzi już miarę
Ta babska dokuczliwość! Będą miały karę!

DIONIZOS.

Nie słuchasz mnie, Pentheju, lekceważysz zawsze
Me rady! Mówięć jednak, chociaż mnie najkrwawsze
Spotkały tu obelgi: Nie wywołuj doli,
Nie wojuj z bogiem! Bromjos nigdy nie pozwoli,
Ażeby te Bachantki, co szumne wiwaty
Na cześć jego wciąż wznoszą, miały jakie straty —
By z gór je wypędzono!

PENTHEUS.

Ty mnie nie ucz, proszę!
Dopieroco psim śwędem rzuciłeś rozkosze
Więzienne, zali nowe mam ci sprawić cięgi?

DIONIZOS.

Nie lepiej przyjść z ofiarą do boga potęgi,
Niż wierzcąć, ty — człowieku! przeciw ościeniowi?

PENTHEUS.

O, będzie miał ofiarę, skoro jak najzdrowiej
Te dziewczki oporzadzę w kithajrońskim jarze!

DIONIZOS.

Zemkniecie! A wstyd będzie, gdy tacy mocarze,
Zakuci w stal, uciekną przed bluszczowym kijem.

PENTHEUS.

A tom się na hultaja natknął! Czy go bijem,
Czy głaszczem, zawsze pełną ma gębę! Nie mogę!

DIONIZOS.

Kochanku! Ciagle jeszcze masz odwrotu drogę.

PENTHEUS.

Więc co? Być sługą sług swych na swą własną szkodę?

DIONIZOS.

Jeżeli chcesz, kobiety-ć bezbronne przywiode.

PENTHEUS.

Ha! Znowu sidła na mnie! Knujesz, ile można.

DIONIZOS.

Chcę sztuką cię ocalić, czy to rzecz jest zdrożna?

PENTHEUS.

Związałeś się, by bezrząd tu utrwalić, człeczko!

DIONIZOS.

Związałem się tak! z bogiem! Bynajmniej nie przeczę.

PENTHEUS.

Stul pysk już!... A niechże mi kto zbroję wyniesie!

DIONIZOS.

Czy nie chciałbyś białogłów tych podpatrzeć w lesie?

PENTHEUS.

Owszem! jak najchętniej! Dalbym kupę złota!

DIONIZOS.

A skądże ci tak naraz przyszła ta ochota?

PENTHEUS.

Ohydny to jest widok — pijane kobiety!

DIONIZOS.

A zatem na ohydę chcesz patrzeć? O rety!

PENTHEUS.

Tak jest, lecz siedząc cicho pod smrekiem. To zrobię.

DIONIZOS.

Wytopię, choć się skryjesz! O tem pomyśl sobie.

PENTHEUS.

Rzecz słuszna! Więc otwarcie zjawię się w tym borze.

DIONIZOS.

Posłuchaj: Mam ja ciebie zaprowadzić może?

PENTHEUS.

I owszem, jak najprędzej! Nie żałuję-c czasu!

DIONIZOS.

Niewieścij ci płótnianki trza do tego lasu.

PENTHEUS.

Mężczyzna, mam przedzierzgnąć się w babę? O, panie!

DIONIZOS.

Ażeby nie zabiło cię męskie ubranie.

PENTHEUS.

Cnie mówisz! Niby mędrzec — z dawnych lat najprościej.

DIONIZOS.

Dioniz mnie tych wszystkich nauczył mądrości.

PENTHEUS.

A jakżeby najlepiej wykonać twą radę?

DIONIZOS.

Na ciebie sam, co trzeba, w pałacu pokładę.

PENTHEUS.

Niewieście suknie? Ależ ja się wstydzę! Nie chcę!

DIONIZOS.

Więc z Menad skwitowałeś? Już cię to nie lechce?

PENTHEUS.

I jakże mnie przygodzić chcesz na to wesele?

DIONIZOS.

Nasamprzód włos przeciągnę-ć, rozczeszę, rozdzielę.

PENTHEUS.

Co więcj? Jakiż jeszcze strój, jeżeli iaska?

DIONIZOS.

Suknia po same kostki, na głowie przepaska.

PENTHEUS.

Czy jeszcze co prócz tego? Co? jakie odzienie?

DIONIZOS.

Bluszczowy pręt do ręki i skórki jelenie.

PENTHEUS.

Nie! babskich wdziać ja sukien nie mogę spokojnie.

DIONIZOS.

Ma krew się twoja polać z bachantkami w wojnie?

PENTHEUS.

Tak! prawda! Na prześpiegi chodźmy wprzód, to główna.

DIONIZOS.

Najmądrzej! Bo złem nigdy zła człek nie wyrówna.

PENTHEUS.

Lecz jak przed Kadmejczyków ukryję się okiem?

DIONIZOS.

Pustemi ulicami pójdziemy, nie tłokiem.

PENTHEUS.

Wyszędzą mnie bachantki, a szydu nikomu
Nie mógłbym puścić płazem! Rozważę to w domu.

DIONIZOS.

Jak chcesz! Lecz zawsze pewny bądź usługi mojej.

PENTHEUS.

Odchodzę. Tak się stanie: Ruszę stąd bądź w zbroi.
Bądź w sposób, jak mi twoja nakazuje rada.

(Odchodzi).

DIONIZOS.

Niewiasty! Oto mąż ten już w mój potrzask wpada.
Pospiesz do bachantek i tam śmierć go czeka.
Do dzieła, Dionizie! Nie stoisz zdaleka,
Lecz blisko! Więc go ukarz! Najprzód odbierz zmysły,
Wpraw w lekki szal! Bo tylko ten, któremu przysły
Rozumu władze zdrowe, gotów jest niewieście
Wdziać suknie. Pośmiewisko urządzę, po mieście
Tebańskiem w tym go stroju prowadząc, chełpisza,
Co tak się nam odgrażał. Hadesowa cisza
Powita go w ubraniu tem, gdy własna matka
Rozszarpie swego syna! Uzna, choć z ostatka,
Że bogiem Dionizos, syn Zeusa, okrutny
Dla złych, a zaś dla dobrych w łaskach swych rozrzutny.

CHÓR.

Kiedyż to nockę ja całą
Będę hej! nóżką tą białą
Przebierać w rozkosznej ucieście?
Kiedyż do lasu pospieszę?
Kiedyż to szal mnie ochoczy
Ku onej błoni
Pogoni,
Ku onej lśnistej.
Rosistej
Przeźroczy,
Gdzie z wyciągniętą szyją
Pić będę niebiańską pogodę,
Jak pija
Te sarny młode,
Po świeżej łące
Skaczące:
Pogoni unikły zdradliwej,
Przez pola pędzily, przez niwy,
Przez matnie, potrzaski i płoty,
Za niemi skwapiiwy
Myśliwy
Psom swoim dodaje ochoty —
Sforze posłusznej, uległej —,
By biegiły
W lot.
A one,
Te sarny, gonione, strudzone,
Wciąż pędzą, by znaleźć obronę,
Przez doły wciąż pędzą i góry,
Mkną chyżo — na skrzydłach wichury,
Aż gdzieś tam w samotnej ustroni,

Gdzie łowiec już sił swych nie trwoni,
Nad brzegiem strumienia,
Pośród chłodnego cienia,
Śród lasu
Użyją spokoju i wczasu.
Gdzie jaka mędrsza jest rzecz,
Gdzie jaki piękniejszy dar boga,
Niż gdy nad głową wroga
Silniejszy w swej dłoni miecz
Może potrzymać człek?
Co piękne, to mile po wiek!

*

Bożych wyroków potęga
Zwolna, lecz pewno dosięga
Grzesznego w świecie człowieka,
Który z poprawą przewleka.
W nieuchronności swojej
Sądzi go, sądzi,
Gdy błądzi.
Gdy bóstw się wcale
W swym szale
Nie boi,
Kiedy swywołnie czi bożej,
Tej świętej ich chwały nie szerzy,
Nie mnoży.
Z swemi obieży
Długo się nieba,
Gdy trzeba,
Taić umieją w swej chęci,
Lecz w końcu się lotr nie wykreśli!
Niech nikt nie wyrzeka się wiary,

Niech ma w pamięci —
Niech święci
W nim się ta myśl, że ofiary
Nie trzeba zbyt wielkiej, by wierzyć
I szerzyć
Wraz,
Co cała
Przyroda wspaniała uznała,
A czego pokoleń nawala
Nie zmiotła od wieka do wieka,
Że Bóg-ci jest wszystkim dla człowieka,
Że wszystko, co mamy, sprowadza
Ta jego wieczysta władza!
Więc niechże nam włada,
A ty, mu, duszo, bądź rada,
I wszędy
Należne poświęcaj obrzędy!
Gdzież jakaś mędrsza jest rzecz,
Gdzież jaki piękniejszy dar Boga,
Niż gdy nad głową wroga
Silniejszy w swej dłoni miecz
Może potrzymać człek?
Co piękne, to miłe po wiek!

* * *

Szczęśliwy, kto z morskiej fali
W przystani życie ocali!
Szczęśliwy, kto życia mozoły
Przetrwiał i żyje wesoły!
Ten nad tym, a tamten znów bierze
Górę nad tamtym bądź w mierze

Dobytku, bądź władzy! Tysiące
Nadzieje znów mają gorące
Tysięczne! Szczęśliwi są jedni,
Gdy się im ziszczą, zaś biedni
Ci z ludzi,
Których nadziei blask złudzi...
Tego ja chwałę sobie,
Co szczęśny w każdej jest dobie.

Na scenę wraca

DIONIZOS.

O ty, który źrenice zwracasz ku widokom,
Co nie są do widzenia, i folgujesz krokom
Ku temu, k'czemu kroczyć nie przystało wcale,
Wyjdź z domu, pokaż mi się w swej niewieściej chwale:
Przybrałeś strój bachancki szalonej menady,
By śledzić twojej matki i jej kobiet ślady.

(Na widok wchodzącego w dom Pentheja):

Na jedną z cór Kadmowych wyglądasz mi w końcu.

PENTHEUS.

Przyglądam się — ha! cóż to?! — podwójnemu słońcu
I dwa tebańskie widzę siedmiobramne grody,
A ty mi zaś się widzisz jako byczek młody
I rogi na tej głowie, haha! też dostałeś!
Więc w zwierzę się zmieniłeś! O, tak jest! Zbyczałeś!

DIONIZOS.

Bóg, który przedtem krzyw był, teraz jest — o nieba!
Przychylny. Teraz widzisz już, co widzieć trzeba.

PENTHEUS.

He? Jak ci się wydaje? Wyznaj-że łaskawie;
Inonie ja podobny, czy matce Agawie?

DIONIZOS.

Widzący cię, wrażenie mam, że widzę obie.
Lecz włos nie na swem miejscu, popraw-że go sobie —
Nie leży, jak ma leżeć — o tu, pod przepaską!

PENTHEUS.

Zapewnem go poruszył, wywijając laską
Bachancką, wyskakując w szalonej ucieście.

DIONIZOS.

Na twe jestem usługi, pozwól, że zaczeszę
Ten pukiel. Podaj głowę!

PENTHEUS.

Podaje! Podaje!

DIONIZOS.

I pas ci się rozluźnił i sukni okraje
Do kostek nie spadają tak, jak się należy.

PENTHEUS.

Dyć prawda, zwłaszcza prawy fałd mojej odzieży
Nie całkiem jest w porządku, w krąg się stóp nie ściele.

DIONIZOS.

Pewnikiem mnie policzysz między przyjaciele,
Gdy wbrew oczekiwaniu skromne ujrzysz dziewię—

PENTHEUS.

Chcę dobrą być bachantką, czy mam trzymać w lewej,
Czy w prawej ten mój pręcik wśród naszej zabawy?

DIONIZOS.

Potrząsać trzeba prawą i na nodze prawej
Opierać. Bardzo pięknie, żeś tak zmienił zdanie.

PENTHEUS.

A toć ja kithajrońskie wszystkie jary, panie,
Udźwignąłbym na plecach razem z bachantkami!

DIONIZOS.

Tak, gdybyś chciał. Lecz przedtem, mówiąc między nami,
Nie byłeś snąc przy zmysłach, teraz móżg masz zdrowy.

PENTHEUS.

Potrzeba jakiejś dźwigni? Podpory jakowej?
Czy górę tymi bary własnymi podważę?

DIONIZOS.

Daj spokój! Jakże można burzyć nimf ołtarze,
Przybytki one święte, gdzie Pan grywa sobie.

PENTHEUS.

Tak, słusznie! Nic ja gwałtem kobietom nie zrobię.
Ukryję się pod jodłą, to będzie najlepiej.

DIONIZOS.

Ukryjesz się, jak musi — tam cię nikt nie czepi —
Postąpić, kto menady podpatruje chytrze.

PENTHEUS.

Przypuszczam, że jak ptaszki, i od nich nie brzydsze —
W ciepłych się gniazdach tułą, w krzaczkach, w cichym
[lecie.

DIONIZOS.

Aha! A więc ciekawość po to cię tam niesie?
Podejdiesz je, tak myślę, lub podejda ciębie!

PENTHEUS.

No, prowadź mnie przez Teby! W największej potrzebie
Niktby się nie odważył, ja tylko jedyny!

DIONIZOS.

Tak, sam dla dobra miasta ważysz się na — czyny,
Dlatego też czekają godne cię przeboje!
Chodź! Ja cię na zbawienie poprowadzę twoje,
Z kim innym zaś tak wrócisz —

PENTHEUS.

Może wrócę z matką?...

DIONIZOS.

— Że wszyscy cię zobaczą.

PENTHEUS.

Po to na tę rzadką

Wybieram się wyprawę?...

DIONIZOS.

I to szybko, duchem

Przyniosą cię —

PENTHEUS.

Czy myślisz, żem jest niewieściuchem?

DIONIZOS.

— Ramiona matki właśnie...

PENTHEUS.

Zmuszasz do wygody?

DIONIZOS.

Oj! prawda! do wygody!

PENTHEUS.

Czym nie wart?

DIONIZOS.

Choć młody,

Wart jesteś i to bardzo!... (*Pentheus wychodzi*).

Zaiste! Wspanialej,

Do nieba sięgającej dostąpisz tu chwały!

Agawo, ściągnij rękę! Wy, córki Kadmosa,

Ściągnijcie ją — wy, siostry! Prowadzę młokosa

W bój wielki! Zwycięzcami ja i Szumnik boży

Będziemy, a zaś reszta sama się ułoży!

CHÓR.

Huzia! hul! wściekle psy!

Huzia! W ostępy gór,

Gdzie thyrsos radośnie drży

W dłoni Kadmowych cór!

Huzia my, huzia na szpiega,

Co strój niewieści wdział

I ujrzeć menady zabiega —
Taki nim miota szal!
Pierwsza go matka spostrzeże
Czatującą z wierzchołka
Świerku lub turni i głośno
Na tłum bachantek zawoła:
„Któż z Kadmejczyków, któż,
Niepowołany stróż,
Niepożądany szpieg,
W te nasze góry wbiegł?
W te nasze góry, w te góry
Któryż to z ludzi, który,
O wy bachantek chóry —
Szalony iście człek —
Dostępny znalazł ścieg?
Z czyjego-ż on wyszedł łona?
Bo nie z kobiecej on krwie!
Szczęnię to lwie,
Lub ta, co libijską się zwie,
Zrodziła go kiedyś Gorgona!
Zjaw-że się, Prawo, zjaw,
Bezbożnych ty sędzio spraw,
Wznies sprawiedliwy miecz
I morduj i kluj i siecz!
Na wylot mu przeszyj krtań,
Niech ginie, niech kona
Syn Echiona,
Ziemi okrutny płód!
Niech krwawa
I sroga
Będzie ta dań,
Którą ma spłacić tej pory

Człek, co bez Boga,
Bez prawa,
Bez czci, bez pokory
Żywot haniebny wiódł!

*

Przeklęty go uniósł gniew,
Prawo depcąca złość!
W pogardzie matki ma krew:
Choć z jej on kości kość,
Chce to dziś zburzyć, co dla niej
Świętością się stało! Tak!
W tej-ci on myśli, o pani,
Na twój się wybrał szlak:
W pysze niepowściągliwej
Pragnie on przemóc, co boże,
A czego nikt na tym świecie
Siłą swą przemóc nie może!
Pragnie zuchwale zgnieść
Wszelaką boską cześć,
Z której ma biedny człek
Poratowanie i lek.
Żadnej-ci, żadnej mądrości
Dusza ma dziś nie zazdrości,
A przecież to, co najprościej
Szczęścia przynosi nam stek,
Najwyższem jest dla mnie po wiek,
Rozumu to dla mnie korona:
Całą potęgę swych tchnień
I noc i dzień
Wysławiać niebiosa, a w cień
Niech cnota nie schodzi gnębiona!

Zjaw-że się, Prawo, zjaw,
Wznies sprawiedliwy miecz
I morduj i kluj i siecz!
Na wylot mu przeszuj krtań,
Niech ginie, niech kona
Syn Echiona,
Ziemi okrutny plód!
Niech krwawa i sroga
Będzie ta dań,
Która ma spłacić tej pory
Człek, co bez Boga,
Bez prawa,
Bez czci, bez pokory
Żywot haniebny wiódł.

* * *

Zjaw się jak byk,
Lub wielogłowy smok,
Lub płomienisty lew!
Hej! Niechże, Bachu, nasz krzyk,
Nasz zew
Uskrzydli dziś chyży twój krok:
Niechże ci śmierć tryska z warg,
Kiedy zabójczy sznur
Będiesz mu składnie
Rzucał na kark,
Skoro w swym szale napadnie
Święte menady gór!...

Na scenę wbiega

GONIEC.

O ty, w Helladzie ongi tak szczęśliwe plemię

Starego Sydończyka, który posiał w ziemię
Plód ziemi, zęby smocze! Jak mnie los twój boli,
Choć tylko jestem sługą, żyjący w niewoli!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Co jest? Czy od bachantek niesiesz jakie wieści?

GONIEC.

Syn Echiona zginął, Penthej! O boleści!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Potęźnie-ś się objawił, ty nasz szumny boże!

GONIEC.

Co mówisz, co powiadasz? Radujesz się może
Z rozgromu mego pana?... O niewiasty lute!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Nie wasza, na nie waszą śpiewam dzisiaj nutę!
Nie lęka się już kaźni me serce niewieście!

GONIEC.

Czy myślisz, że już mężczyzn niema w naszym mieście?

PRZODOWNICA CHÓRU.

Dioniz, o Dioniz ma nademną władzę!
Jego się tylko radzę!

GONIEC.

Rozumiem! Lecz się cieszyć, jeśli kogo spotka
Nieszczęście, to nie pięknie! Sprawa to nie słodka!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Lecz powiedz, jakże zginał? — powiedz-że, mój złoty! —
Ten mierny człek, co same wyprawiał niecnoty?

GONIEC.

Rzuciwszy swe mieszkanie w tym tebańskim grodzie,
Dotarliśmy nasamprzód ku Ajsopa wodzie,
Przez którą trzeba było się przeprowić, dalej
Do skał kithajronowskich myśmy się dostali —
To znaczy, ja i Penthej, któremu w tej drodze
Towarzyszyłem właśnie, panisku-niebodze,
I on, ten cudzoziemiec, wiodący na obu
Na ową uroczystość. Pamiętni sposobu,
Nasamprzód do zielonej wkroczyliśmy hali:
Stąpając pocichutku, ledwieśmy szeptali,
By widzieć, niewidziani. W drzew jodłowych cieni
Spadzisty jar lśnistemi źródłami się mieni.
W tych cieniach, u tych sikław, nad krynic zwierciadły
Swobodnie się menady przy pracy rozsiadły
Przemilej: jedne pręty thyrsowe mały,
Ogołocone z bluszczu, inne wieńce wily,
A inne znów skakały niby klacze młode,
Od wozów na rozkoszną puszczone swobodę.
Bachantek wtór rozbrzmiewał naokół. I wtedy
Ten biedny mój Pentheus, nie mogąc czeredy
Niewieściej dojrzeć dobrze, powie: „Stąd, gdzie stoję,
Przybyszu mój kochany, chyba oczy moje
Nie mogą, jakby chciały, ogarnąć gromady
Bachantek. Na to, myślę, niema innej rady.
Jak wleść na jaki wierszyk lub na jaką jodłę,
Bo tylko tak zobaczą ich rzemiosło podle“.
I wtedy wraz spostrzegłem, jakiego to cudu

*Opis
bachantek*

Ten przybysz w oczach moich dokonał bez trudu:
Wierzchołek niebotyczny rękami zwinnymi
Schwyciwszy, jął giąć jodłę, giął i giął ku ziemi,
Aż w kabłąk zgiał w kształt łuku lub jak dzwono koła,
Pod cyrklem kołodzieja rosnące. Nie zdoła
Śmiertelny żaden człowiek spełnić, czego w lesie
Ten przybysz nasz dokonał. W rękach drzewo gnie się,
Aż zgnie się ku ziemi! Co kiedy się stało,
Na gałąź wsadził pana i, znowu się mało
Trudzący, jął to drzewo przepuszczać przez palce,
By zbyt nie odskoczyło. W końcu po tej walce,
Co walką snąć nie była, do niebieskich pował
Ów maszt się, dźwigający króla, wyprostował.
Lecz menad król nie dojrzał, za to menad oczy
Spostrzegły go wyraźnie w niebieskiej przeźroczy,
Na drzewa tego szczycie. W tym samym momencie
Znikł przybysz. Za to z niebios — wierzę temu święcie,
Że był to Dionizos — głos się ozwał gromki:
„Niewiasty! Posłuchajcie! Wy, Kadma potomki,
I wy, moje dziewice! Zdrajcę wam przywiódłem,
Co mnie i was i nasze obrzędy w swem podłem
Śmiał nurzać pośmiewisku! Ukarzcie go za to!“
To rzekł i płomień ognia świętego bogato
Ku niebu i ku ziemi wypuścił. Przewstwowo
Ucichły, ani listek nie zadrzał tej pory
W rozciekawionej kniei, zamilkły zwierzęta.
Nie całkiem usłyszawszy, co im cisza święta
Przyniosła, wraz na palcach wspięły się te panny,
To w tę, to w ową stronę wzrok swój nieustanny
Rzucając. Wtem na nowo głos się ozwał z góry,
I, Bacha już poznawszy, Kadmosowe córny
Zerwały się, jak dzikie gołębie i, siły

Do biegu wyteżywszy, co tchu popędziły
Agawe, matka króla, i obie jej siostry
I wszystkie wraz bachantki: niby wicher ostry,
Przepaści przesadzając, jary i źródliska,
Pomknęły, bożym szaleńcem porwane, i zbliska
Ujrzawszy na tej jodle siedzącego króla,
Straszliwie sobie tłum ich odrazu pohula.
Nasamprzód były glazy w robocie: Ze skały
Sterczącej naprzeciwko, kamienie rzuciły
I kłody i gałęzie. Inne w biedną głowę
Mierzyły thyrsojami, lecz i thyrsojami
Ich pręty szły na chybę, albowiem na szczycie
Wysokim, o nie! wyższym, niż sam chciał, swe życie
Umieścił nieszczęśliwy ten mój pan! Bezradnie
Na drzewie onem siedział, czekając, aż padnie,
Konary dębowymi poczęły nareście
Korzenie wydobywać te ręce niewieście,
Podważając je bez dźwigni żelaznych. A kiedy
Bez skutku i ta praca, do wścieklej czeredy
Odezwię się Agawe: „Otoczyć mi kołem
To drzewo, za pień chwycić, iżby przed mozołem
Rąk naszych zwierz ten nie zbiegł i ażeby bożej
Nie zdradził tajemnicy!...” I wraz się przyłożyły
Rąk tysiąc do tej jodły i wyrwie ją z ziemi.
A między gałęziami siedział jodłowemi
Pentheus, by wraz upaść wśród jęków rozpaczy
I westchnień przetysięcznych: wiedział, co to znaczy,
Na śmierć niechybną szedł on. Dopadnie go matka
I pierwsza — że kapłanka — pocznie do ostatka
Mordować swego syna. On zasię, przepaszę
Zrzuciwszy co tchu z głowy, błaga ją o łaskę,
Ażeby go poznawszy, nieszczęsna Agawe

Rzuciła te sprawiane nad nim sądy krwawe.
„Syn jestem twój, o matko!“ — tak on rzecze do niej,
Dotknąwszy się jej lica, jej matczynej skroni —
„To ja, Pentheus, syn twój o matko rodzona.
Któregoś porodziła w domu Echiona!
Ulituj się nademną i za moje grzechy
Synowskiej ty się, matko, nie zbawiaj pociechy!“
Lecz ona, wywracając oczy, tocząc pianę,
Straciwszy zdrowe zmysły, gdzie zmysły wskazane,
Bachanckim zdjęta szaleń, ani go nie słucha.
Na piersiach mu stanąwszy, i, ślepa i głucha,
Rozedrze mu łopatkę i, chwyciwszy ramię,
Wyrywa je — o, siłą nie własną! Nie kłamie:
Bóg jakiś tak ustalił niewieście jej ręce!
Zaś z drugiej strony Ino uczestniczy w męce,
Na kęsy szarpiąc ciało. Nieszczęsnej ofiary
Dopadła Autonoe, a z nią całe chmary
Bachantek... Wszczął się zamęt, krzyk i narzekanie:
Ten jęczy, ciężko wzdycha, ile tchu mu stanie,
A tamte triumfują. Ta biednego czleka
Skrwawione chwytą ramię, ta z nogą ucieka,
W obuwiu jeszcze tkwiącą. Oto żebra świecą,
Odarte całkiem z mięsa tą ręką kobiecą.
O biedny Pentheusie! Kawałami ciała
Twojego, niby piłką, ta czeladź rzucała!...
Na ostrych skał złomiskach leżą jego strzępy,
Po gąszczach rozsypane, na lesiste kępy
Rzucone! O, nie łatwo je znaleźć!... Traf zdarza,
Iż głowa się dostaje do rąk matki. Wraża
Rodzica wraz na thyrsos ją zatknie i pędzi,
By z głową lwa dzikiego, od skalnych krawędzi
Kithajronowych. W górach wraz z swemi menady

Pozostawiła siostry, sama zaś w me ślady,
Z krwawego łupu dumna, spieszy w nasze mury,
Bachowi pohukując, co był jej ponurej
Wyprawy uczestnikiem, co ją tą zdobyczą
Obdarzył, lzy niosącą. Niechże sobie krzyczą,
Radują się zwycięstwem, ja, nim się tu zjawi
Agawe, precz stąd pójde, gdyż serce mi krwawi
Ten widok!... Tak, być skromnym i zawsze czcic nieba
To rzecz jest najpiękniejsza, a powiedzieć trzeba,
Że równie i najmędrza. Klejnót nad klejnoty,
Jeżeli człek te zbawcze pielęgnuje cnoty.

CHÓR.

W płas na cześć Bacha, w płas!

W taneczny szal!

Niech się nasz hejnał potoczy,

Albowiem zginął już smoczy

Płód!

Pentheus zginął! Niewieście odzienie

Wdział,

Thyrsosem trząsł

I w Hadu dziś zeszedł cienie —

Buhaj go wiódł!...

Tebańskich bachantek chóry

Zwycięstwa wspaniałą sławę

W jęk zmieniłyście ponury,

W zdrój

Łez!

Piękny zaiste to bój,

Wielką-ć przynosi chlubę,

Jeśli na dziecka własnego zagubę,

Na jego kres,
Ręce podniesiesz krwawej!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Aliści widzę matkę Pentheja, Agawę —
wytrzeszczonemi oczy do palacu spieszy.
Powitać, cześć bachanckiej trzeba oddać rzeszy.

Z głową Pentheja, zatkniętą na thyrsosie, wpada z częścią bachantek

AGAWE.

Bachantki azyjskie!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Hej?

AGAWE.

Maik niesiemy w dom,
Maik zielony,
Od gór go niesiemy, od gór,
Niesiem go świeżo ucięty!

PRZODOWNICA CHÓRU

Widzę twój chór,
Biję pokłony —
Witam cię, tłumie ty święty!

AGAWE.

W ostępie dzikich kniej,
Bez łowczych sieci —
Patrzcie, patrzajcie, me dzieci!
Upolowałam lwa!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Śród jakich puszczy?

AGAWĘ.

Kithajron — —

PRZODOWNICA CHÓRU.

Kithajron?

AGAWĘ.

On

Jego sprowadził skon.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Któż pierwszy wymierzył cios?

AGAWĘ.

Moja to chwała chwał!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Szczęśliwą cię będzie zwał

Powszechny głos!

BACHANTKI,

Tak zwał mnie bachantki.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Kto drugi?

AGAWĘ.

Kadmosa — —

PRZODOWNICA CHÓRU.

Kadmosa? —

AGAWE.

Ród —

Tej uczestnikiem zasługi!
On-ci to ze mną, tak, ze mną
Nie poszedł w drogę daremną!
Przez nas on trup!
Szczęśliwy, szczęśliwy to łup!

*

AGAWE.

Bierz udział w biesiedzie!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Ja?

AGAWE.

Młody to jeszcze zwierz!
Z pod spin szyszaka,
Który niedawno wdział,
Miękką się broda dobywał!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Z tem mu na schwał —
Ozdoba taka,
Jako u lwa jęczywał!

AGAWE.

Bach się na łowach zna!

Na zwierza ślady
Wraz zaprowadził menady,
On, sfory wódz!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Myśliwych król!

AGAWE.

Czy chwalisz?

PRZODOWNICA CHÓRU.

Co chwale?

AGAWE.

Mnie?!

Wkrótce po wszystkie dni — — —

PRZODOWNICA CHÓRU.

Chwalić cię będzie ten gród!

AGAWE.

I Penthej mnie za ten łów — —

PRZODOWNICA CHÓRU.

Pochwali własny cię chów,

Tak, on, twój plód!

AGAWE.

Że taka lwia zdobycz —

PRZODOWNICA CHÓRU.

Wspaniała —

AGAWĘ.
Wspaniale —

PRZODOWNICA CHÓRU.

Złwiona —

AGAWĘ.

Mych rąk

Nie uszła! O chwała! O chwała!

O wielka, ty wielka radości!

Śród mych rodzinnych włości

Czyn mój zostanie po wiek —

Sławić go będzie człek!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Więc niechaj twoją zdobycz, nieszczęsna niewiasto,

Zobaczy na swe oczy i tebańskie miasto.

AGAWĘ.

Mieszkańcy pięknowieżej warowni na ziemi

Tebańskiej! Przyjdźcie zaraz, aby oczy swemi

Oglądać łup, przez córki Kadmosa zdobyty!

Nie one, ze rzemienia miotane dziiryty

Tessalskie go ubiły, nie wpadł też do matni

Myśliwskiej! O nie! Cios mu zadaly ostatni,

Rozdarły go tych białych palce rąk! Należy

Więc chępcie się, po bronie chodzić do płatnerzy,

Jeżeli go te gołe pochwyliły ręce,

Na cząstki mu porwały te członki zwierzęce?

Gdzie jest mój ojciec stary? Niechże k'nam się ruszał

Nie widzę też i syna mego, Penteusza?

A przyjdź! drabinę przystaw do dworzyszczu ściany

I przybij na trójwłębie ten upolowany
Łeb lwa, który ze sobą przynoszę!

*Z resztkami zwłok syna, na marach niesionemi przez służbę,
powraca z poza miasta*

KADMOS.

Na ziemię

Postawcie-że mi, słudzy, to nieszczęsne brzemię,
Te resztki Pentheusa! Przynieście je, ludzie,
Przed pałac. Po tysięcznym znalazłem je trudzie,
W parowach kithajrońskich... Nie w jednym leżały
Wzdyć miejscu — w gęstym lesie ten dobytek cały
Jam zebrał! — O mych córek wyprawie straszliwej
Już tum ja się dowiedział, na te nasze niwy
Wróciwszy od bachantek, wraz z Tejrezjaszem,
Chodzący już spokojnie po tem mieście naszym.
Do lasu więc z powrotem skierowawszy kroki,
Przynoszę wam te wnuka zabitego zwłoki —
Menady go rozdarły! Była tam i ona
Małżonka Aristaja, co mu Aktajona
Zrodziła, Autonoe; w zielonej dąbrowie
Widziałem również Ino! W nieszczęśliwej głowie
Zmieszały się im zmysły. Zaś co do Agawy,
Ktoś mówił mi, że z swojej bachanckiej wyprawy
Wróciła opętana do miasta. I zasię
Rzekł prawdę, gdyż ją widzę — biada! po niewczasie!

AGAWE.

Mam prawo dzisiaj, ojczy, do największej chwały!
Tak, chełp się! Gdyż z śmiertelnych tobie się dostały
Przenajdzielniejsze córki! Wszystkich to się tyczy,

A zwłaszcza mnie! O racz się przyjrzeć tej zdobyczy:
Iglicę porzuciłam i krosna, byś oto
Sięgnęła nieco wyżej, ty moja ochoto,
Na zwierza polująca — rękami! Patrz, stary
Mój ojcze! Na ramionach niosę łup bez miary
I tobie go oddaję, by na twego szczycie
Pałacu mógł zawisnąć! Niech się twoje życie
Napełni dzisiaj dumą! Niech twe serce, rade
Z mojego dzisiaj czynu, sprosi na biesiadę
Twe wszystkie przyjacioly! Szczęśliwy-ś, szczęśliwy,
Że takie twoje córki wykonują dziwy!

KADMOS.

O klęsko niepomierna, przed którą się bronią
Żrenice! O ty mordzie, wykonany dłonią
Nieszczęsna! O, wspaniała uczciłaś ty bogi
Ofiarą i na stypę prosisz w swoje progi
I mnie i Tebańczyków! Biada! naprzód tobie,
A potem mnie jest biada. O, w słusznej żalobie,
Aczkolwiek zbyt okrutnej, szumny bóg nas grzebie —
On krewniak nasz, pogrąży w niej i mnie i ciebie.

AGAWĘ.

Że też to starość bywa tak zrzędna i oko
Na wszystko ma niechętnę. Pragnę ja głęboko,
By syn mój dobrym łowcą był i w matki ślady
Wstępował, zwierza goniąc na czele gromady
Tebańskiej młodzi! Przecież on li umie z bogi
Wojować! Trzeba, ojcze, odwieść go z tej drogi,
Upomnąć! Niech tu stanie i niechże zobaczy,
Iż szczęścia tak nie zyska, jeno klęskę raczej.

KADMOS.

Ach! ach! Gdybyście kiedy czyn swój pojąć miały,
Cierpienie by was cierpkie zmogło. Lecz że cały
Swój żywot w tym dzisiejszym stanie przeżyjecie,
Nieszczęścia nie poznacie największego w świecie.

AGAWĘ.

Cóż stało się smutnego? Jakie zło cię mroczy?

KADMOS.

Nasamprzód tam, ku niebu, podnieś-że, te oczy.

AGAWĘ.

Podnoszę. Ale po co? Czy dowiem się może?

KADMOS.

To samo jest, czy coś się zmieniło w przestworze?

AGAWĘ.

Daleko promienistsze, to powiedzieć muszę.

KADMOS.

A ból jakiś niezwykle czy ci szarpie duszę?

AGAWĘ.

Ja nie wiem, co to znaczy... Jeno czuję, owszem:
Poprzedni stan przeminął w mojem sercu zdrowszem.

KADMOS.

Czy słyszysz? Odpowiedzi dasz-że mi przytomne?

AGAWĘ.

Dawniejszych słów, mój ojczy, wcale już nie pomnę.

KADMOS.

A w czyje-że to progi weszłaś jako żona?

AGAWĘ.

Z posiewów zrodzonego smoczych Echiona.

KADMOS.

A jakie, powiedz, imię waszego jest syna?

AGAWĘ.

Pentheus, ma i męża pociecha jedyna.

KADMOS.

A z czyjej-że to głowy w ręku krew ci płynie?

AGAWĘ.

Z łba lwa, tak mi mówiły moje współłowczynie.

KADMOS.

O, przyjrzyj mu się bliżej, starczy mgnienie powiek.

AGAWĘ.

Co widzę? Cóż ja trzymam?! Wszak-ci to jest człowiek?

KADMOS.

Uważnie mu się przyjrzyj, popatrz, jak należy.

AGAWĘ.

Największą widzę zgrozę! O bólu macierzy!

KADMOS.

A co? Jak ci się widzi? Co? czy lwa to skronie?

AGAWĘ.

Nie! głowę Pentheusa dźwigają me dłonie!

KADMOS.

Skrwawioną, nim zdołałaś ją rozpoznać! Rety!

AGAWĘ.

Kto zabił? Kto dał do rąk nieszczęsnej kobiety?

KADMOS.

Okrutna, sroga prawdo, jawisz się nie w porę!

AGAWĘ.

Mów! Wypędź-że mi z serca niecierpliwą zmore!

KADMOS.

Ty sama go zabiłaś, ty i siostry twoje!

AGAWĘ.

Padł w domu, czy gdzieindziej? O wy niepokoję!

KADMOS.

Gdzie ongi Aktajona srogie psy rozdarły.

AGAWĘ.

Mów, po co na Kithajron poszedł ten mój zmarły?

KADMOS.

Szedł z boga drwić, wyszydzać szedł bachijskie szały.

AGAWĘ.

A w jaki my się sposób, powiedz, tam dostały?

KADMOS.

Utraciliście zmysły i ten gród nasz z wami.

AGAWĘ.

Dioniz zmógł! Jasnemi widzę to oczami.

KADMOS.

Nie chcieliście go uznać, łącz jego obrządki.

AGAWĘ.

Gdzież, ojcze, są te drogie mego dziecka szczątki?

KADMOS.

Przyniosłem, wyśledziwszy z ogromnym mozołem.

AGAWĘ.

Czy dobrze członki jego trzymały się spolem?

KADMOC.

[Porozrzucane. Leśny skrywał je manowiec.]

AGAWĘ.

Skąd szal nasz opadł także i Pentheja? Powiedz!

KADMOS.

Wam równy był, czcic boga wzbraniał się i za to

Bóg hojnie nam zapłacił — o krwawa zapłato! —,

W jednaki niszczą sposób nas wszystkich: was, moje

Wy córki, i tego tu i mój dom-ostoję

I mnie, co, pozbawiony męskiego potomka,

Spoglądać dzisiaj muszę, jaka kłęska gromka

Raziła dziś ten ród nasz, jak przenieszczeńliwie,

Jak strasznie zginął kwiat ten, wyrosły na niwie
Żywota twego córko!... O mój wnuku luby!
Podpora-ś mego domu był, a dziś do zguby
Przywiodłaś go, ty drogi mojej córki synu!
Postrachem byłeś wielkim dla naszego tynu,
Lecz nikt przez wzgląd na ciebie nigdy się nie ważył
Urągać mnie starcowi! Dobrzeby się sparzył!
A dzisiaj snąc wypędzon będzie z własnej ziemi
On, Kadmos, wielki Kadmos, co, rękami swemi
Tebański ród zasiawszy, bujne sprzątnął plony!
O wnuku mój jedyny, wnuku mój rodzony,
Najdroższy dla mnie z ludzi, bo choć już na świecie
Nie żyjesz, do najdroższych zawsze cię, me dziecię,
Zaliczać tutaj będę. Już ty mnie za brodę
Nie będziesz ciągnął, wnuku! Już ty, pisklę młode,
Nie będziesz mnie całował, nie będziesz zwał dziadkiem,
Nie będziesz mnie się pytał: „A czy ci przypadkiem
Ktoś krzywdy nie wyrządził? Któż ci na zawadzie
Tak stanął, tak zasmucił? Powiedz, luby dziadzie,
Ażebym mógł ukrócić tę ludzką swawolę!“
A dziś ja nieszczęśliwy i tyś się na dole
Naraził przeokrutną, przebieдна twa matka
I siostr jej los żaloszny!... Kto żyw. do ostatka
Pamiętaj: Gdybyś bluźnił, nie chciał wierzyć w Boga,
Wnet wierzyć cię nauczy śmierć Penteja sroga,

PRZODOWNICA CHÓRU.

Kadmosie, żal mi ciebie! Jednak zasłużenie
Padł wnuk twój, choć tak krwawe zostawił ci mienie.

AGAWA.

Cóż stało się z mych losów, ty mój ojczcie miły?!

[Ażeby żyć tu dalej, już ja nie mam siły!
Pentheus, syn, nie żyje! Ręce moje własne
Rozdarły go na strzępy! Niechże i ja zgasnę!

DIONIZOS.

On karę zasłużoną poniósł: szydził ze mnie
I przeto z rąk tych zginął, z których tak nikczemnie
Nie był powinien zginąć. Ale i wam godnie
Zapłacić trzeba będzie za spełnioną zbrodnię
Na wnuku tego starca: Już nie zobaczycie
Tych murów, wypędzone z nich na całe życie!
Ty w smoka, królu Kadmie, będziesz przemieniony,
A co zaś do Aresa córki, twojej żony,
Harmonji, która z tobą, choć śmiertelny-ś, żyje
W małżeńskim związku, w gada się przedzierzgnie, w żmiję.
Z nią razem z tego miasta pognasz zaprząg wołów —
To Zeus ci przepowiada co do twych mozołów —
I, ludów barbarzyńskich wódz, ty grodów wiele
Rozburzysz. Lecz gdy nowi twoi przyjaciele
Świątynię Loksjasza złupią, wiedz, że wtedy
W powrocie swym doznają niespodzianej biedy.
Lecz Ares przyjdzie w pomoc tobie i Harmonji,
Obojga was na Wyspie Szczęśliwości schroni,
To mówię-ć ja, Dioniz, nieśmiertelny człowiek,
Lecz Zeusa syn prawdziwy, Gdybyście swych powiek
Nie odwracali ongi od rozsądku drogi
W te czasy, kiedy znać jej nie chcieliście, błogi,
Zaiste los by waszą rozpogadzał duszę,
Syn Zeusa zbawcze z wami zawarłby sojusze.

AGAWE.

Błagamy, Dionizie! Zgrzeszyliśmy, boże!

DIONIZOS.

Za późno! Wcześniej było kajać się w pokorze!

AGAWE.

Widzimy to, lecz nazbyt krwawa jest twa chłosta!

DIONIZOS.

I wyście mnie chłostały szyderstwem! Rzecz prosta!

AGAWE.

Tyś bóg, więc się nie równaj śmiertelnikom w złości.

DIONIZOS.

Zezwolił na to dawno Zeus z swej wysokości.

AGAWE.

Ojej! Więc nieuchronne, starcze, jest wygnanie!

DIONIZOS.

Przecz zwlekać? Co się stało, już się nie odstanie!

KADMOS.

O dziecię! Jakiż dzisiaj los nawiedził ostry

Nas wszystkich, mnie i ciebie i twe krwawe siostry!

Ja, biedny, w cudzoziemskie mam się udać kraje

W tym wieku tak podeszłym! Jak Zeusa wyznaje

Wyrocznia, mam wojsk cudzych zebrać mieszanię

I wieść ją na Helladę! Mam — z boleści ginę! —

Harmonję, Aresową córkę, moją żonę,

Na gada przedzierżgniętą, wieść w ojczyzną stronę,

Ja, również gad! Na dzikich barbarzyńców przedzie

Na groby ją helleńskie własny mąż powiedzie,

Na świętych bóstw ołtarze! Nie skończą się moje
Nieszczęścia! Mnie i wówczas będą niepokoje
Szarpały, Acherontu gdy fale zobaczę!

AGAWĘ.

Ojcze! Bez ciebie idę na życie tułaczę!

KADMOS.

Przeż, córko, obejmujesz mnie swemi rękami?

Słaby, siwy ja labędź, cóż ja pocznę z wami?

AGAWĘ.

Z ojczyzny wyrzucona, w jakież pójdę strony?

KADMOS.

Ja nie wiem! Nie pomoże ci ojciec rodzony.

AGAWĘ.

Żegnaj mi, grodzie ojczysty, żegnaj mi, domie ty mój!

Wypchniętą z rodzinnych progów

Okrutny czeka znój.

KADMOS.

Arystajowych poszukaj rozlogów!

[AGAWĘ.

Ojcze! nad losem twym płaczę!

KADMOS.

A mnie chwytają rozpaczę

Nad twą i sióstr twoich dołą!

AGAWĘ.

Dioniz, wielki bóg,
Strasznym zapłonął gniewem,
Z rodzinnych wygnał smug!

DIONIZOS.

Ale i mnie strasznie bołą
Te krzywdy, przez was zadane —
Krwawą mi ranę
Tebański zadał gród,
Że mi odmówił czci!

(Znika).

AGAWĘ.

Bądź-że mi, ojczy, zdrów!

KADMOS.

Bądź zdrowa, córko-nieboga!
Jeno do zdrowia nie wiedzie ta droga!

AGAWĘ.

Do sióstr mnie powiedźcie, do sióstr,
Przed niemi niech stopa ma stanie,
By razem pójść na wygnanie —
Biedne wy siostry moje!
Nie na Kithajron mi iść!
Ani on mnie nie zobaczy,
Ani ja jego! Ach!
Nie dla mnie bachantek stroje,
Nie dla mnie już w bluszczu liść
Zdobne te pręty —
Innym zostawię ja ten obrzęd święty!...

CHÓR.

W przemnożej postaci
Zjawiają się losy
I niespodzianki urzadzają nam Bóg.
Miał zyskać, człek traci,
A zysków niebiosy
Śród niespodzianych nie skapią mu dróg —
Tak było i z tem wydarzeniem...]

OSOBY DRAMATU: PERSONAGES

GŁÓWNY STRAZNIK
 Hektor, rzeźniczy wódz królewski
 Alkias (Enoch)
 Chyryk (D)
 Gonic
 Rhesos; syn trojańskiego króla
 Dymen
 Ateny
 Paris czyli Aleksandros
 Muz, matka Rhesa
 Powoźnik Rhesa
 Haza dzieje się w okolicy wojny trojańskiej
 Był

R H E S O S

Hektor
 Kto tam? Co? Gdzie? Jak?
 Gdzie to? Jak to?
 Kto? Co? Jak?
 Gdzie to? Jak to?
 Kto? Co? Jak?
 Gdzie to? Jak to?
 Kto? Co? Jak?

OSOBY DRAMATU:

CHÓR STRAŻY TROJAŃSKIEJ.

HEKTOR, naczelny wódz trojański.

AJNEJAS (Eneasz), syn Anchizesa i Afrodyty.

CHYTRZEC (Dolon).

GONIEC.

RHESOS; syn trackiego potoku Strymona i Muzy.

ODYSSEUS.

DYOMEDES.

ATHENE.

PARIS czyli ALEKSANDROS, brat Hektora.

MUZA, matka Rhesosa.

POWOŹNIK RHESOSA.

Rzecz dzieje się w obozie wojsk trojańskich.

PRZODOWNIK CHÓRU.

Jeśli tam nie śpi jeszcze
Z książęcych giermków który,
Lub też ktokolwiek z warty,
Co, czterokrotnie luzując się w nocy,
Obożnej pilnuje rzeszy,
Niechże pospieszy
Do legowiska Hektora!

(Tymczasem sam podszedłszy pod namiot, krzyczy):

Na łokciu oparty,
Podnieś-że głowę do góry,
Sen z groźnych spędź powiek
I rzuć to liściem zaścielone łóże!
Ważną-ć nowinę obwieszczę!
Najwyższa pora,
Byś ją wysłuchał, Hektorze!

Z namiotu wychodzi

HEKTOR.

Kto tam? Czyj głos to? Przyjaciół czy wróg?
Cóż to za człowiek?
Hasło?... Czy braknie ci słów?
Pod mego namiotu próg
Kto śmie przychodzić w tej porze?
Gadaj-że! mów!...

PRZODOWNIK CHÓRU.

Wojenna straż.

HEKTOR.

A co za powód masz
Do wrzawy?

PRZODOWNIK CHÓRU.

Nie trwóż się, książę!

HEKTOR.

Nie trwóż!

Czy może
Nocnej się lękasz wyprawy?
Któż to opuszcza swoje stanowisko
I niepokoï
Żołnierzy?
Czy wiesz,
Że hufców argiwskich blisko
I zawsze w pełnej zbroi
Obóz nasz leży?

CHÓR STRAŻY TROJAŃSKIEJ.

Uzbrój-że dłoń
I goń
I bież
Do towarzyszków leż!
Trzeba co tchu
Wyrwać ich z snu,
Trzeba przyjaciół ślać,
By się porwała brać
Z namiotów!

Niech każdy będzie gotów,
Niech dzidę pochwyci, jak błysk
I koniom w pysk
Założy kryg!
Do syna Panthoosa,
Lub syna Europy,
Co wie dzie likijski szyk,
Któż pójdzie w te tropy,
Któż?
Gdzie są kapłani
Z ofiarą obeznani?
Proczarów gdzie przednie chłopy,
Gdzie?
Rusz się, frygijski łuczniku, a rusz
I, niecierpliwy,
Założ cięciwy
Na rogiem strojny łuk!

HEKTOR.

Zapowiedź trwóg
Zwiastuje wargą mi twoja,
Tę znów do ucha
Płynię z niej jakby otucha —
Mowa to dziwnie zmieszana!
A może Kronidy-Pana
Przestrach twą duszą ciska!
Może to on z stanowiska
Tak cię wypędza i każe
Przerażać wojska i strażę?
Cóż za wiadomość nowa?
Mnogie są twoje słowa,
Ale pewności żadnej.

PRZODOWNIK CHÓRU.

W krąg ognia moc
Przez noc
Na trud
Pali Argiwów lud,
Że, niby dzień,
Tak płynie zeń
Światłości biały smug,
Widać, że na coś wróg
Zawzięty.
Na brzegu lśnią okręty,
Tak jary oświeca je blask!
Podniósł się wrzask,
Wszczął dziki szum:
To przed Agamemnona
Ruszył się w nocnym mroku
Ten cały wojenny tłum...
Cóż może na oku
Mieć,
Jeśli nie krwawy
Cel jakiejś znów wyprawy?
Nigdy takiego ja tłoku
Wprzód
Nie widział! Jakąś zastawiają sieć!
Dlatego w trwodze
Z tą wieścią przychodzę,
By twej nagany ująć...

HEKTOR.

Przychodzisz w samą porę, chociaż głosisz trwożę,
Ci ludzie chcą ukradkiem wybrać się dziś w drogę —

Poprostu myślą uciec, gotują okręty,
By nocą tą na morskie wypłynąć odmęty.
Dowodem są te ognie! Dlaczegoż to, losie,
Wstrzymujesz lwa od łupu, zanim udało się
Tym oto bystrym mieczem wytepić ich docna,
Tych wrogów mych argiwskich?!... Moja ręka mocna
Nie byłaby spoczęła, jeno że mi słońca
Blask zagasił, że nie mogłem, kroczący bez końca
Pomiędzy namiotami popalić ich statków
I wyciąć ich tym mieczem morderczym. Mam świadków,
Że, chcąc skorzystać z losu szczęśliwych obrotów,
I w nocy też na wroga natrzeć byłem gotów.
Wróżbici jednakowoż i mędrce, świadomi
Przyszłości, gdy się miecz mój tak na krew łakomi,
Radzili czekać świtu, jako w to zaranie
Ni jeden już na ziemi Greczyn nie zostanie.
Ci przecież nie czekają rad moich wróżbiarzy,
Bo juści dla ucieczki dobrze mrok się darzy.
Więc trzeba powiadomić co tchu moich ludzi,
Niech każdy będzie gotów, niech ze snu się zbudzi,
Niech weźmie się do broni, by wróg, w plecy cięty,
Gdy będzie do ucieczki piał się na okręty,
Drabiny krwią swą zboczył, lub też, powiązany,
Nauczył się frygijskie uprawiać polany.

PRZODOWNIK CHÓRU.

Zbyt kwapisz się, a nie wiesz, co to jest, Hektorze!
Czy wojsko to ucieka, któż odgadnąć może?

HEKTOR.

A w jakimżby więc celu palili ogniska?

PRZODOWNIK CHÓRU.

Ja nie wiem, ale sprawa coś mi trochę śliska.

HEKTOR.

Ha! Cóż cię nie przerazi, jeśli drżysz tej chwili?!

PRZODOWNIK CHÓRU.

Tak nigdy nasi wrodzy ogni nie palili.

HEKTOR.

I nigdy tak haniebnie z pola nie czmychał.

PRZODOWNIK CHÓRU.

Tys sprawił to, dlatego kieruj wszystkim dalej.

HEKTOR.

Gdy wróg jest, broń do ręki, no, i dobra nasza!

PRZODOWNIK CHÓRU.

O, widzę spieszącego ku nam Ajnejasza!

Widocznie swych przyjaciół nowiną uraczy.

Wchodzi

AJNEJAS (ENEASZ) (do Hektora).

Dlaczego po obozie ku wojska rozpaczy

Te strażę tak się włóczą? Ludziom spać nie dają!

Co chcą przy twym namiocie? Załatw się z tą zgrają!

HEKTOR.

Od stóp do głów się zakuj, Ajnejasie, w zbroję!

AJNEJAS.

Cóż stało się? Czy może warty mówią twoje,
Że wróg nasz jakiś napad tajemnie układa?

HEKTOR.

Uciekać chcą, na statki wszystkich naród siada.

AJNEJAS.

A skądże ci ta pewność? Masz-że dowód jaki?

HEKTOR.

Noc całą palą ognie to najlepsze znaki:
Do rana nie zostaną, nie o to im chodzi.
Te watry rozżarzywszy, rzuca się do łodzi
I umkną precz z tej ziemi — odpłyną na morze.

AJNEJAS.

Więc po co uzbroiłeś to ramię, Hektorze?

HEKTOR.

Gdy będą, uciekając, pędzić na swe nawy,
Dopadnie i powstrzyma ich ten oręż krwawy.
Bo wstyd to wielki dla nas, a z wstydem nieszczęście,
Ażeby wróg, co w nasze już się dostał pięście,
Bez walki nam się wymknął, sprawca takiej szkody.

AJNEJAS.

Bodajbyś tak roztropny był, mój druhu młody,
Jak dzielnem twoje ramię. Lecz tak się, niestety,
Dział zwykle, że nie wszystkie ma człowiek zalety.
Złączone z sobą razem: jeden tę, zaś drugi

Ma inną znowu cnotę na swoje usługi.
Achaje rozpalili ogniska, więc tobie
Wydaje się, że myślą o jakimś sposobie
Uciezki i odrazu-ś w swej dumie gotowy
Po ciemku przejść z swem wojskiem przez głębokie rowy.
Popróbuj się przedostać przez burty i doły —
Co będzie, jeśli ujrzysz, że nieprzyjacioly
Bynajmniej stąd uciekać nie myślą, że staną
Z oporu walecznego chęcią niezłamaną?
Zwyciężon, już do miasta nie powrócisz cało,
Bo jakby się, pierzchając, wojsko przedostało
Przez one ostrokoły? Mówię — aż się prosi
Pytanie —: Jakżeż mogą bez złamania osi
Przesadzić groble twoje zaprzęgi?... Jeżeli
Zwycięzysz, syn Peleja śnać cię nie ośmieli,
Z zasadzki gdzieś wypadłszy, abyś mógł ich statki
Podpalić i Achajów tak na drodze gładkiej
Wytepić z korzeniami! Macie wej! moczars!
Unosi się! zapala i na nic nie zważa!
Więc pod osłoną broni niechże nasi ludzie
Wypoczną sobie dzisiaj po wojennym trudzie.
I owszem, na prześpiegi trzeba wysłać kogo
Do naszych nieprzyjaciół... Jeżeli złowrogo
Nie myślą o zasadzce, jeno w rzeczy samej
Uciekać chcą, my wówczas na nich napadamy,
Jeżeli zaś te ognie jaki podstęp znaczą
I nasi wywiadowcy nam go wytlómaczą,
Naonczas naczelnikom zebrać się wypada,
By dalszy plan rozważyć. Taka moja rada.

CHÓR.

To samo zdanie ja mam,

Przeto zmienić pogląd swój,
Gdyż jestem pełen trwóg,
Jeżeli wódz
Chce zbyt pochopnie iść w bój...
Najlepiej będzie nam,
Gdy szpiega wyślemy, by znów
Dostać języka, z jakiego powodu
U swych okrętów przodu
Ognie rozpalili wróg?...

HEKTOR.

Poddaję się, gdy wszyscy jednak w tej mierze
Myślicie. Ty idź, wojsko uspokój. Żołnierze,
O nocnych słysząc schadzki, nazbyt łatwo mogą
Wywołać jakiś zamęt, spowodowan trwogą,
Zaś ja do nieprzyjaciół zaraz szpiega wyśle.
Jeżeli się dowiemy, co w swoim umyśle
Postanowili dzisiaj, wszystko ci się powie
I udział weźmiesz w radzie. Jeżeli wrogowie
Uciekaćby zechcieli, bądź na nowo gotów
Na trąbki głos! On powieć, że od tych namiotów
Tej nocy jeszcze ruszę na Achajów statki.

AJNEJAS.

Wysyłaj jak najprędzej! Teraz plan twój gładki!
A ja przy twoim boku i zawsze i wszędzie,

HEKTOR.

Z trojańskich tutaj ludzi któż mi gotów będzie
Do wojska argińskiego udać się na zwiady,
Ojczyźnie tę przysługę wyświadczyć? Ja rady

Wszystkiemu dać nie mogę, bo i ziemia nasza
I żołnierz patrzy na mnie!... A więc ktoś się zgłasza?

(*Wysuwa się*).

CHYTRZEC (DOLON).

Ja tego się dla kraju podejmę ryzyka!
Pospieszę na prześpiegi w obóz Argejczyka
I skoro się o wszystkim wywiem, tu w tę porę
Powrócę!... Trud ten cały na siebie ja biorę!

HEKTOR.

Nazwisko ciebie godne i kochasz swą ziemię —
Od dawna słynie ród twój, ty dzisiaj swe plemię
Okrywasz jeszcze sławą, zwiększoną w dwojnasób.

CHYTRZEC.

Potrudzę się, gdy trzeba... Ale jakiś zasób
Oplaty za me trudy chyba mi przybędzie?
Nagroda bowiem zdwaja zapal w każdym względzie.

HEKTOR.

Uznaję. Lecz nagrodę sam ty wyznacz sobie.
Nie oddam ci królestwa, zresztą wszystko zrobię.

CHYTRZEC.

Ochoty nie mam żadnej na królewską władzę.

HEKTOR.

Więc podaj się za zięcia Priama. To-ć radzę.

CHYTRZEC.

Brać żonę z wyższych stanów? I to nie ochota!

HEKTOR.

Mam złoto, może zatem ciągnie cię do złota?

CHYTRZEC.

Mam dosyć go u siebie. Środków mi nie braknie.

HEKTOR.

Więc czegoż od Iljonu twoja dusza łaknie?

CHYTRZEC.

Z achajskich niech mi łupów przypadnie nagroda.

HEKTOR.

I owszem... Jenó wodzów byłoby mi szkoda.

CHYTRZEC.

Tych ubij. Z Menelajem nie rób ceremonji.

HEKTOR.

Za synem Oileja chętka twoja goni?

CHYTRZEC.

Do roli nie przydadzą się szlacheckie ręce.

HEKTOR.

Jakiegoż więc Greczyna dla ciebie poświęcę?

CHYTRZEC.

Że złota mi nie trzeba, już to rzekłem wprzód.

HEKTOR.

Sam weźmiesz przy podziale, co chcesz, za swe trudy.

CHYTRZEC.

Zdobyczne zechciej łupy zawiesić w świątyni.

HEKTOR.

I cóż więc znaczniejszego Hektor ci uczyni?

CHYTRZEC.

Achilla daj rumaki! Trudy tego warte,
Jeżeli ktoś swe życie postawi na kartę!

HEKTOR.

Twa chęć co do tych koni wprowadzie się mej chęci
Sprzeciwia — i mnie zaprzag Achillowy nęci.
Rumaki, z nieśmiertelnych zrodzone rumaków
I same nieśmiertelne, wśród bitewnych szlaków
Pelejowego wożą synala. Król toni,
Posejdon, poskromiciel rozhlukanych koni,
Peleusowi dał je — takie krążą wieści.
Przynęteś miał odemnie, więc się nie pomieści
W mej głowie, bym cię okpił... Nie dałbym nikomu,
Lecz tobie dam ten zaprzag, skarb przedni dla domu.

CHYTRZEC.

To chwaleń sobie; wiem też, że za swoje czyny
Ze wszystkich Frygijczyków ja skarbiec jedyny,
Największy, właśnie biorę. Ty nie zazdrość, proszę,
Masz przecie, pan tej ziemi, przemnogie rozkosze.

(Hektor znika).

CHÓR.

Na wielki się wazysz trud,
Lecz i niemala dań,

Którabyś zyskał rad.
Spełni się chęć,
Szczęście posiędziesz zań,
Sławy i chwały w bród.
Juści, królewski zięć
Żądanie górne! Niech cię wesprzą nieba!
Ludzkiego, czego ci trzeba,
Skąpić nie będzie świat...

CHYTRZEC.

Więc pójdę... Lecz nasamprzód skieruję się w stronę
Domostwa, aby suknie włożyć upatrzone,
A potem ku Argiwom zwrócę kroki swoje.

PRZODOWNIK CHÓRU.

Czy może w jakąś inną obleczesz się zbroję?

CHYTRZEC.

A jakże, odpowiednią dla złodziejskiej sztuki.

PRZODOWNIK CHÓRU.

Od mędrców człek rad mądrej zasłyszysz nauki,
Więc powiedz, w jaki sposób przystroisz swą skórę?

CHYTRZEC.

Swe plecy jak najszczelniej otulę w wilczurę,
Że będę jako głowę miał zwierzęcia paszczę,
W te jego przednie łapy swoje ręce wtaszczę,
A zasię swoje nogi w jego tylne nogi,
Ażebym na czworakach udawać śród drogi
Chód wilka. Wówczas, myślę, wróg mnie nie przydybie
Przy rowach i okrętach. Zasię w zwykłym trybie,

To znaczy, na dwóch nogach powędruję sobie
W odludziu. To mój podstęp. Wszystko dobrze zrobię.

PRZODOWNIK CHÓRU.

A niechże cię szczęśliwie sam Hermes powiedzie,
Syn Mai, on, co w sztuce mamienia na przedzie
Największych stoi mistrzów. Świadomy-ś jest sprawy,
A jeno niech na ciebie los będzie łaskawy.

CHYTRZEC.

Napewne ocaleję i Odyssa głowę
Przyniosę-ć, byś miał w ręku dowody gotowe,
Że Chytrzec był u Greków, lub syna Tydeja,
Gdyż z ręką nieskrwawioną — taka ma nadzieja —
Nie wrócę tu, nim słońce nad ziemią zaplonie.

CHÓR.

O Apollonie,
W Tymbrze i w Delos i w likijskim schronie
Przemieszkujący! W dłoń
Weź-że swój łuk
I przyjdź i goń,
Ty Bóg!
Okaż swą moc
I przyjdź w tę noc!...
Stańże w tym mroku
Przy tego męża boku,
Zbawienie jego postanów
I pozwól w wszechmocy swej
Zwyciężyć ludowi Dardanów,
Ty, Troi
Ongi założycielu!

Do floty wroga
Oby szczęśliwie zawiodła go droga!
A skoro zbada plan
I rzeczy bieg,
Niech na swój lan
Ten człek
Powróci znów
Ocalon, zdrów!...
Niech na rydwanie
Frygijskich rumaków stanie,
Gdy pan nasz wroga przegoni —
Onych wspaniałych rumaków,
Które z rąk władcy toni,
Ajaków
Otrzymał ongi syn...

* * *

Dla swego domu, dla ojczystych niw
Sam on się jeden dziś waży
Do rzeszy się przekraść wrażej —
O, takie męstwo to istny jest dziw!
Nie wielu zdobędzie się na nie,
Gdy morskie szaleją otchłanie,
Kiedy w odmęcie wód
Zdaje się tonąć gród,
Są jeszcze odważni Frygowie,
Są między nimi, o są bohaterzy!
Odeprę, jak się należy,
Jeśli kto powie,
Iż pogardy jest godzien
Ten nasz mizyjski lud.

*

Kogóż w namiocie achajskim o skon
Chytry przyprawi morderca?
Mąż odważnego serca,
W wilczej posturze przekrada się on!
A może jest też nadzieja,
Że sprzątnie tam Meneleja,
Że głowę Agamemnona
Od reszty ciała precz
Odetnie jego miecz,
Że rzuci on ją Helenie,
Tę głowę szwagra, który takie znoje
Sprrowadził na tę mą Troję,
Takie zniszczenie.
Gdy w tysiąc przygnał okrętów
Na tę wojenną rzecz.

Wchodzi

GONIEC (*w postaci pasterza*).

O, gdybym ja to zawsze mógł mieć takie wieści,
Jak ta, co właśnie dzisiaj niosę ją twej cześci.

HEKTOR.

Te kmiotki cóż to, mówię, za niezdarne pily!
Zapewne chcesz powiedzieć, że się rozpleniły
Obficie pańskie trzody? O ojcowskim statku
Donosisz? O, wybrałeś się w sam czas, mój bratku!
A nie wiesz-że, gdzie mieszkam? Gdzie dom rodziciela
Mojego? Tam niech wieści twój język udziela
O stad błogosławieństwie, o szczęściu bez miary.

GONIEC.

Dyć prawda, wsiewscy ludzie piły i niezdary,
A jednak ci nowinę radosną przynoszę.

HEKTOR.

Pozostaw-że dla innych te chłopskie rozkosze,
My wielki ciężar wojny dźwigamy na grzbiecie.

GONIEC.

A właśnie coś w tym względzie zaraz się dowiedzie,
Albowiem sprzymierzeniec— i druh z tysięcznemi
Przybliża się wojskami ku tej naszej ziemi.

HEKTOR.

Z jakiego ojczystego przybywa zagona?

GONIEC.

Z niw trackich on się zbliża. Jest synem Strymona.

HEKTOR.

Co? Rhesos w naszym kraju? Zali się nie mylę?

GONIEC.

Odgadłeś, oszczędziłeś słów mi drugie tyle,

HEKTOR.

A jakże on w idajskie przybywa Podhale,
Rzuciwszy równe drogi, płaszczyźniane dale?

GONIEC.

Dokładnie tego nie wiem. Wytłómaczyć da się.
Nielatwo przeprowadzić wojsko w nocnym czasie,

A zwłaszcza, gdy się słyszy, że w wroga są ręką
Doliny wszystkie wokół. Więc i my też lęku
Doznali niemałego, my, co u stóp góry
Idajskiej przemieszkujem, tu, gdzie pierwsze mury
Naszego stały grodu. Widząc, co się dzieje,
Jak tłum się k'nam przedziera przez gąszcze i knieje —
Gdyż wielkie trackie wojsko ruszało się z wrzawą,
Szumiącą niby potok — tą głośną przeprawą
Okrutnie przerażeni, jeliśmy w te tropy
Przepędzać nasze stada na wierchy i kopy,
Ażeby Argejczycy strąg twych nie złupili
I statku nie zabrali. Ale gdy po chwili
Nie greckiej do nas mowy docierały dźwięki,
Odrzaż też i nasze przeminęły lęki.
Wyszedszy naprzeciwko tych, co dróg szukali,
W narzeczu-m począł trackiem badać ich, azali
Powiedzą kto ich wodzem, czyim synem zwie się
Ten mąż, co Priamidom zbrojną pomoc niesie.
A kiedym się dowiedział, co usłyszeć chciały
Me uszy, przystanąłem. Przedemną wspaniały
Lśni Rhesos — na rydwaniu stał on by bóg jaki,
W zaprzęgu mając trackim ogniste rumaki.
Guz złoty ściągał jarzmo na karkach tych koni
O maści tak bielutkiej, że śnieg się nie płoni
Podobną, mówię, bielą. Złocistą, rzeźbioną
Miał tarczę na ramieniu z spiżową Gorgoną,
Podobnie, jak na szczycie bogini. Wokoło
Głów końskich wian otaczał tej potwory czoło,
Co wraz z mnogością dzwonek roznosiła trwoję.
Sił zbrojnych wyszczególniać juści ja nie mogę,
Taki jest tego ogrom: i lekkiej piechoty
I konnych wielka liczba, tarczowników roty

I strzelających z łuku i ciurów tabory
W trakijskim przyodziewku. Taki więc tej pory
Przybywa sprzymierzeniec do tej naszej Troi.
O, przed nim żadną miarą już się nie ostoi
Peleja syn, nie wymknie mu się z rąk, gdy zechce
Uciekać, czy do walki chętna go polechce...

PRZODOWNIK CHÓRU.

Gdy szczęście raz już zwróci na miasto swe oczy,
Pomyślnie mu do końca wszystko się potoczy.

HEKTOR.

Od kiedy powodzenie przy moim orężu
I Bóg po naszej stronie, w niejednym ja mężu
Znajduję przyjaciela. Lecz nie trzeba druhów,
Co z nami nie bywali, kiedy wśród podmuchów
Straszliwych groźny Ares porwał nasze żagle.
Jak Rhesos sprzyja Troi, widzimy: Ot, nagle
Zachciało mu się przybyć na ucztę, choć łowy
Obeszły się bez niego, choć nie był gotowy
Utrudzić się wraz z nami przy chwytnaniu zwierza.

PRZODOWNIK CHÓRU.

W istocie można sztydzić z takiego przymierza,
Lecz tych, co niosą pomoc, przyjąć nie zawadzi.

HEKTOR.

Jest dość nas, cośmy Troi zawsze bronić radzi.

PRZODOWNIK CHÓRU.

Więc ufasz, że już w ręku masz te hufy wraże?

HEKTOR.

Tak ufam! I jutrzejszy ranek to pokaże.

PRZODOWNIK CHÓRU.

Niejedno Bóg przemienia. Miej przyszłość na względzie!

HEKTOR.

Przyjacieli, co się spaźnia, miłym mi nie będzie,
Że jednak jest, więc chociaż za nic nam sojusze,
To przecież jako gościa posadzić go muszę,
Lecz dzieci Priamowych wdzięczność dlań nie wiąże.

PRZODOWNIK CHÓRU.

Nie godzi się odpychać sprzymierzeńca, księżę!

GONIEC.

Już na sam widok jego wroga lęk opadnie.

HEKTOR (*do Przodownika Chóru i Gońca*).

I twoja myśl jest dobra i ty mówisz składnie.
Więc mąż ten zlototarczy, Rhesos, według Gońca,
Przychodzi jako ziemi naszej współobronca.

CHÓR.

Niechże córka Zeusowa,
Adrasteja, me słowa
Od zawiści zachowa!
Prosto, szczerze wyrażę.
Co mi serce rzec każe:
Pożądany, witany,
Na frygijskie dziś lany
Wkraczasz, Zdroju ty dziecię!

Już puściła cię przecie,
Już cię wreszcie puściła w te strony
Pierydzka twa macierz, rodzony
Ojciec puścił cię twój,
Pięknobrzegi ten Zdrój. —

*

Strymon, który swe tonie,
Gdy miłością zapłonie,
Rozlał ongi po łonie
Śpiewnej Muzy-dziewicy,
Twej, Rhesosie, rodzicy.
Jak bóg, lśniący blaskami,
Dziś się jawisz przed nami,
Chyżonogie cię źrebce
Ku mej wiodły kolebce!
Teraz, miasto frygijskie ty moje,
Twe się trudy zakończą, twe znoje,
Teraz hymn możesz wznieść
Na boga-zbawcy cześć.

* * *

Taka dzisiaj godzina,
Iż w Troi mej starej
Może znowu pieśń zabrzmieć wesoła,
Mogą znowu przelewać się wina,
Pełne krążyć puhary
Dokoła,
Mogą płynąć miłosne wyznania!
Już k'nam szczęście się ślania,
Od Iljonu wybrzeży
Huf atrydzkich szermierzy

Przez smug morza otwarty
Już odpływa do Sparty.
O mój drogi, mój miły,
Oby nam to sprawiły
Twoja ręka, twój miecz,
Zanim ruszysz stąd precz!

*

Przyjdź-że, jaw się i z boku
Złotem swojej pawęży
Błyśnij oku Pelidy w swej grozie,
Gromko jego zabłyśnij-że oku!
Nikt cię tu, nikt nie zwycięży!...
Na wozie
Kiedy staniesz, gdy zaczniesz po błoni
Pędzić dziwo swych koni
I grot rzucać za grotom,
Wszystko legnie pokotem!
Nikt nie wróci do kraju,
Nikt po Hery już gaju
Żywy chodzić nie będzie.
O, na śmierci on grzędzie
Legnie, ziemi tej lup,
U trackich położon stóp.

* * *

Wielki o! wyrósł król
Śród twoich, Tracjo, pół!
Wspaniały powstał lew,
Książęca iście krew!
Jakąż ma zbroję on,
Szczerego złota plon!

Jakiż to dzwonek brzęk,
Gdzie tarczy zwija się łęk!
Ares nadchodzi, bóg,
Pod twój, o Trojo, próg!
Strymona i Muzy syn
Pod twój się zbliża tyn,
Rżący się zbliża źrebiec!...

Z świątą wspaniałą jawi się

RHESOS.

Cny synu cnego ojca, witaj mi, Hektorze!
Tej ziemi witaj władco! Że cię witać może
Po tylu, tylu latach, rada jest ma dusza,
A zwłaszcza kiedy, widzi, jak się moc twa rusza
U szanów nieprzyjaciół. Przybywam tej chwili.
Abyśmy razem wroga okręty spalili.

HEKTOR.

O Muzy śpiewającej synu i Strymona,
Trackiego dziecię zdroju! Jest przyzwyczajona
Ma wargę mówić prawdę. Nigdy ja człowiekiem
Nie byłem dwujęzycznym, więc powiem z dalekiem
Od kłamstw wszelakich sercem: Dawno naszej ziemi
Winienesz być przyjść w pomoc z wojskami swojemi
I dawno-ć wypadało zrobić coś, ażeby
To miasto uratować od greckiej potrzeby!
Powiedzieć wszak nie możesz, że na nasze łany
Z pomocą nie przybyłeś, boś nie był wezwany,
Że troszczyć się nie mogłeś o te nasze losy,
Ponieważ nie dobiegły cię proszące głosy —
Niejeden przecież goniec i niejeden z Rady

Frygijskiej był u ciebie, byś nasze posady
Obronił, dar niejeden słano-ć drogocenny,
A ty, chociaż nie Greczyn, jeno nasz plemienny,
Plemiennych swych wydałeś na łup greckiej chmary.
Nie wielkim byłeś władcą, jam ciebie, obszary
Ogromne wywalczywszy, posadził na tronie
Trakijskim, gdy Pajonów najechawszy błonie,
Stawiłem czoło Trakom, by u stóp Pangaju
Potrzaskać ich puklerze i tobie ich kraju
Zdobyte oddać berło... Tak było. Ty zasię,
Usługę tę nogami depcąc, po niewczasie
Z pomocą swoim druhom przychodzisz. A przecie
Są inni, co choć z nami przenigdy na świecie
Nie krewni, przyszli dawno i albo, wierności
Dla miasta znak wspaniały, złożyli swe kości
W kurhanach, lub, przy wozach stojąc i we zbroi,
I chłody dzisiaj znoszą i spieki dla Troi
Wytrwale i cierpliwie, nikt z tej braci bożej
Puharem się nie raczy, nie zalega łoży,
Jak ty, mój przyjacielu! Mowa moja szczerą,
Byś wiedział, jak się Hektor do prawdy zabiera.

RHESOS.

I ja nie inny jestem, prostą chodzę drogą
I wargi me fałszywe nigdy być nie mogą.
Mnie większy żal, niż tobie, żem nie przybył w porę
Z pomocą do twych dzierżaw. Chęci były skore,
Atoli gdym się właśnie w Iljonu ziemie
Wybierał, najechało mnie sąsiadów plemię
Scytyjskich, trzeba było stoczyć z nimi wojnę.
A zatem, przeprawiwszy trackie siły zbrojne
Ku czarnomorskim brzegom dalekim, obficie

Przelałem krew scytyjską i tracką. Widzicie,
To powód był, dlaczego nie mogłem w te tropy
Z sojuszem przyjść do Troi. Ale w zakład chłopcy
Pobrawszy, nałożywszy na domy podatki,
Przybywam — przez część drogi niosły mnie tu statki,
Zaś inną część przebyłem piechotą! Broń Boże,
Na miękkie, jak zarzucasz, nie kładłem się łożo
W złocistych gdzieś komnatach i pełnych puhałów
Nie wychylałem! Owszem, wśród mroźnych obszarów
Pajonji, wśród nawalnic na trackiej głębinie
Bezsenne pędząc noce, przybywam tu ninie,
W żelazne te obręcze zakuty... W tej drodze
Spóźniłem się, to prawda, lecz jeszcze przychodzę
Snać w porę. Ty, co prawda, roczek już dziesiąty
Wywijasz swoją dzidą, ciągle sprawiasz maty,
Tej gry z Argejczykami nie mogąc do końca
Sprowadzić tak ni owak!... Mnie zaś jeden słońca
Wystarczy chyba obrót, by przelamać szańce
Achajów, wziąć ich statki, ich samych za krańce
Przepędzić lub też ubić, by potem do swojej
Roboty wrócić rankiem, do domu, z pod Troi.
Z was przeto niech nikt tarczy, nie kładzie na ramię,
Ja sam moc butnych Greków, choć późno, przelamię,

CHÓR.

O haj! O haj!
Miłe są twoje słowa
I ty nam miły,
Albowiem Zeus cię w swojej lasce chowa!
Niechże on jako to ziści,
Ten najmocniejszy bóg,
By nie zrodziły

Zawiści!
Mężniejszej nad ciebie siły
Ni dawniej, ani też ninie
Po mórz głębinie
Argiwskie nie niosły okręty!
Zali Achilles czy też Ajas, wódz,
Móglby twój oręż zmóc?!
Obym ja dożył tej godziny świętej,
W której mordercze ich ramię
Zbrojna twa ręka przełamie.

RHESOS.

Za długą nieobecność płacąc, ja-cé dokażę,
Iż będzie tak, jak pragniesz. Gdy zastępy wraże
Od ziemi tej odpędzę z wołą Adrastei
I łupów pierwociny, w wojennej zawiei
Zebrane, skoro złożę bogom, do rubieży
Argiwskich razem z tobą na czele żołnierzy
Wyruszę... Nie! Ja całą Helladę spustoszę,
Niech wiedzą, jakie krzywda gotuje rozkosze!

HEKTOR.

Jeżeli tylko dzisiaj gród nasz oswobodzę,
Ażeby móc, jak dawniej, po bezpiecznej drodze
W swem dalszem kroczyć życiu, juści ja ogromnie
Niebiosom będę wdzięczny. Albowiem co do mnie
To mówię, że nielatwo, wbrew twojej poradzcie,
Cios zadać Argejczykom, dogodzić Helladzie.

RHESOS.

Najpierwsi pono z Greków są tutaj w tej chwili.

HEKTOR.

Obniżyć ich nie będę, dość mnie natrapili.

RHESOS.

Ubijem ich odrazu, no i koniec będzie!

HEKTOR.

Wysoko sięgasz! Rzeczy miej bliższe na względzie!

RHESOS.

Zda mi się, wolisz dźwigać, niż nakładać brzemię.

HEKTOR.

Mam państwo dość rozległe, dość przestronną ziemię.

Lecz powiedz, gdzie, po stronie lewej czy po prawej,

Czy w środku naszej linii chcesz swe zbrojne ławy

Ustawić? Na swym własnym polegaj wyborze.

RHESOS.

Sam chcę z nieprzyjacielem spotkać się, Hektorze.

Jeżeli ci się hańbą wyda, byś ich łodzie

Z pomocą mą dziś spalił po długim zawodzie,

To ustaw mnie naprzeciw zastępów Achilla.

HEKTOR.

Przeciwko niemu darmo oręż się wysiła.

RHESOS.

A przecież, jak mówiono, popłynął do Troi?

HEKTOR.

Popłynął i jest tutaj. Jenó, w złości swojej

Na wodzów, już wycofał z boju swe usługi.

RHESOS.

A po nim, gdy o męstwo idzie, któż jest drugi?

HEKTOR.

Ja myślę, że mu Ajas, również syn Tydeja
Nie ustępuje w niczem. Masz tam i złodzieja
Szcwanego, ale człeka, któremu odwagi
Nie braknie. To Odyszej. W najbardziej on nagi
W najbezwzględniejszy sposób zadrwił sobie z naszej
Ojczyzny. Bo, powiadam, nic go nie nastraszy,
By w nocy się nie wśliznął w świątynię Ateny,
Nie ukraść jej posągu i swojej bez ceny
Zdobyczy na argiwskie nie zawieść okręty.
Już raz on, jako żebrak, przedarł się w zamknięty
Ten gród nasz, naurągał tym, co go wysłali
Na zwiady, ubił strażę i powłókł się dalej.
On w Thymbrze, przy ołtarzu niedaleko Troi,
Trapiciel uporczywy, wciąż na czatach stoi.

RHESOS.

Nie będzie w skrytobójczy sposób swego wroga
Zabijał człek odważny; jedyna dlań droga
To stanąć oko w oko... Tego, co jak złodziej,
Sztuczkami i podstępnie koło sprawy chodzi,
Żywcem go pochwycawszy, palem przebić każę,
U bramy go wychodnej wystawię i wraże
Zgotuję uctowanie skrzydlatemu ptactwu,
Bo taką tylko śmiercią placić świętokradztwu
I wszelkim tym podobnym hyclostwom! Tak będzie!

HEKTOR.

Lecz teraz się rozłóżcie obozem, na względzie

Noc mając. Ja ci miejsce od mych szyków zdala
Pokażę. Hasłem naszym zaś Fojbos, jeżeli
Potrzeba. Więc pamiętaj i niech je udzieli
Twój rozkaz wojskom trackim, to hasło (*Do Chóru*): Wy zasię
Odejdźcie i wartujcie. Powinien w tym czasie
I Chytrzec także nadejść, wysłan na prześpiegi —
Jeżeli żyw, wnet nasze ujrzą go szeregi.

CHÓR.

Któż teraz pełni straż?
Na kogo kolej wypada
Ninie?
Gwiazda za gwiazdą ginie,
Plejad gromada
Blask siedmioraki
Rozsiewa w głębiach przestworu!
Orzeł pośrodkiem niebieskiego toru
Kraje niebieskie szlaki...
Czemu zwlekacie? Wstać!
Porzucić leże!
Niechże do warty się bierze
Leniwa brać!
Noc jasna, choć niema miesiąca!
Świta już świta!
Lśni złotolita,
Dzień zwiastująca
Jutrzenka...

I. PÓLCHÓR.

Komuż straż pierwsza była przeznaczona?
[Któż to ją pełnić miał?]

II. PÓLCHÓR

Korojbos, syn Mygdona!

I. PÓLCHÓR.

Jakiż był dalszy dział?

II. PÓLCHÓR.

Kilików budzili

Ludzie pajońscy, zaś Myzowie nas.

I. PÓLCHÓR.

Na Likijczyków idzie zatem czas,

Trzeba ich zbudzić tej chwili!

*

CHÓR.

Ale ja słyszę już,

Jak tam, gdzie Simois toczy

Swe fale,

Tęskne zawodzi żale

Słowik uroczy —

Jak z całej mocy —

Na różnorakie tony

Przemelodyjne, piskląt pozbawiony,

Oskarża los swój sierocy.

Widzę, u Idy ścian

Pasą się trzody,

W fujarki nocne zawody

Wsluchał się łąn —

Sen jeszcze od końca daleki.

Sen, co najslodziej,

Gdy jutrznia wschodzi,
Tuli powieki
Nad ranem.

I. PÓLCHÓR.

Czemu nie wraca, wysłan przez Hektora,
Nasz wywiadowca, szpieg?

II. PÓLCHÓR.

Ostatnia, by wrócił, pora.

I. PÓLCHÓR.

Może gdzie zabit legi?

II. PÓLCHÓR.

I ja też się boję,
Że wpadł w zasadzkę wywiadowca nasz.

I. PÓLCHÓR.

Lecz chodźmy teraz po likijską straż,
Niech miejsce tu zajmie swoje.

Na scenę wkradają się z mieczem w ręku Diomedes i

ODYSSEUS.

Słyszaleś, Diomedzie? Złuda to, czy dzwoni
Naprawdę mi do uszu szczęk jakowej broni?

DIOMEDES.

Nie! Nie! To pobrząkują żelazne łańcuchy
W uprząży. I mnie także chwycił przestrach głuchy,
Nim jeszcze zmiarkowałem, co się w tem pokaże.

ODYSSEUS.

Uważaj, abyś w mroku nie natknął na strażę.

DIOMEDES.

Uważam, choć w ciemnościach stąpać trochę srogo.

ODYSSEUS.

A hasło czy pamiętasz, gdybyś zbudził kogo?

DIOMEDES.

Tak! „Fojbos!“ Chytrzcowemi dam odpowiedź usty,

ODYSSEUS.

Tak jest. Lecz namiot wroga, widzę, że jest pusty.

DIOMEDES.

A Chytrzec nam powiedział, że tu swoje leże

Ma Hektor, na którego miecz ten goły dzierżę.

ODYSSEUS.

Co znaczy to? Czy wojsko uszło gdzie znienacka?

DIOMEDES.

A może jest to na nas jakowa zasadzka?

ODYSSEUS.

Zuchwały jest-ci Hektor zwycięski, zuchwały!

DIOMEDES.

Co robić, Odysseju, gdy losy nie dały

Pochwyć go? Nadzieja całkiem nas zawiodła.

ODYSSEUS.

Wrócimy do okrętów. Wysadzić go z siodła
Bóg jakiś nie pozwala, ten sam, co mu z nieba
Zwycięstwo śle? Snać szczęścia gwałcić nam nie trzeba.

DIOMEDES.

Ajnejasowi może lub też Parysowi,
Najzawziętszemu z Frygów, uciąć łeb najzdrowiej?

ODYSSEUS.

A jakże poomacku tego my dokażem?
Jak znaleźć, jak ich zabić w tem roisku wrażem?

DIOMEDES.

Lecz wstyd nam będzie wracać do argiwskich łodzi,
Nie uprzątnąwszy wroga! Czy to ci nie szkodzi?

ODYSSEUS.

A Chytrzec niesprzątnięty, wysłan na prześpiegi?
Nie mamyż jego zbroi? Czy wszystkie szeregi
Nieprzyjacielskie chciałbyś tak sprzątnąć? O, srodze
Zawiedziesz się! Wracajmy! I szczęść się nam w drodze!

Jawi się

ATHENE.

Trojańskie czemu szyki rzucacie tej chwili?
Gryziecie się w swem sercu, żeście nie ubili
Hektora czy Parysa, że woli w tem bożej
Nie było?... A nie wiecie, że się nie najgorzej
Chce sprawić tutaj Rhesos, sprzymierzeniec Troi?
Jeżeli się on żywy do rana ostoi,
Nie wstrzyma go ni Achill, ani miecz Ajasa,

By statków wam nie zniszczył. Strasznie on pohasa,
Rozburzy wasze szańce, szerokiem korytem
Przeleje się w wasz obóz! Wszystko jest zdobytem,
Gdy tego zamordujesz!... Poniechaj Hektora,
Z rąk innych ma on zginąć! Przyjdzie na to pora!

ODYSSEUS.

Władczyni ma, Ateno! Boć ja słyszę ciebie —
Twój głos tak dobrze znany! W każdej ty potrzebie
Przy moim stajesz boku! Wskaż mi, gdzie ten świeży
Nasz wróg śród barbarzyńskich wojsk obozem leży.

ATHENE.

Tu blisko i nie między siły trojańskiemu
Rozłożył się, przybywszy, jeno poza niemi
Na noc mu Hektor miejsce wyznaczył, do rana
U wozu trakijskiego stoi przywiązana
Rumaków śnieżna białość, jak rzeczne łabędzie,
Przez mrok przeświecająca. W pierwszym ci ja rzędzie
Polecam: weź je z sobą, skoro ubijecie
Ich pana! Najprzedniejszy łup to. Niema w świecie
Zaprzęgu tak cudnego, jako te rumaki.

ODYSSEUS.

Lub ty, Diomedesie, w pień mi wytniesz Traki,
Lub ja, a wówczas, proszę, miej o zaprzęg pieczę.

DIOMEDES.

Rhesosa ja ubiję. A ty, mądry człeczce,
Do koni racz się zabrać. Masz fortele w głowie —
To spełniać ma, kto czemu najlepiej odpowie.

ATHENE.

Lecz, widzę, Aleksandros idzie k'nam. Od straży
Zapewne wieść niepewną słyszał, że ktoś wraży
Śmiał wtargnął do obozu. Dlatego tu spieszy.

DIOMEDES.

Czy sam on się tu zbliża, czy z kimś ze swej rzeszy?

ATHENE.

Sam. Zda się, do Hektora kroczy legowiska,
By donieść, że w szeregi jakiś szpieg się wciska.

DIOMEDES.

Sprzątnąwszy go, uprzedzić doniesienie trzeba.

ATHENE.

Nikt więcej nie wykona nad to, co mu nieba
Przeznaczą. Nie od twego ma on paść oręża.
A zatem idź, gdzie los ci każe ubić męża.
Tymczasem ja, udając Kiprydę, złudnemi
Tumanić będę słowy wroga waszej ziemi.
To rzekłam wam. Nie słyszy przecież mowy mojej
Ów człek, który ma zginąć, choć blisko tu stoi.

Na scenę wchodzi

PARIS.

Hej! wołam cię, mój bracie i wodzu, Hektorze!
Nie godzi-ż ci się czuwać? Wtargnęli w tej porze
W nasz obóz jacyś wrodzy, szpiedzy lub złodzieje.

ATHENE.

Kipryda ciebie strzeże. Nie trwóż się! Koleje

Tej wojny w mych są ręku! Zawsze mam w pamięci
Cześć, którąś mi okazał, uznając twe chęci
I dzisiaj również z walną pomocą się jawię,
Możnego sprzymierzeńca przyprowadzam sprawie
Trojańskiej: trackiej Muzy syn to i Strymona.

PARIS.

Życzliwaś nam jest zawsze, cnie usposobiona
I dla mnie i dla grodu. Za klejnot też sobie
Uważam przenajdroższy, żem cię w onej dobie
Swym sądem złączył z Troją. Po głuchej przychodzę
Nowinie: wartownicy szepcą, że po drodze
Szpiegowie są achajscy! Ten i ów powiada,
Że są, choć ich nie widział; innych znowu rada
Jest ta, że ich widzieli, jeno rzec nie mogą,
Gdzie, kiedy? Chcę z Hektorem podzielić się trwoga.

ATHENE.

Nie lękaj się! Tu niema żadnych wrogich znaków,
Zaś Hektor na spoczynek poprowadził Traków.

PARIS.

Umiałaś mnie przekonać, przeto się nie boję.
Spokojnie idę zająć stanowisko swoje.

ATHENE.

Idź! Troskę o twe sprawy już ja będę miała.
Bo chyba mnie obchodzi zwycięstwo i chwala
Mych wiernych sprzymierzeńców. Sam się w krótkim czasie
Przekonasz, na co tobie ma życzliwość zda się.

(Paris odchodzi).

Hej! Wy, coście tak strasznie wraz się rozwścieklili —
Ty, synu Laertesu, schowaj miecz tej chwili!
Trakijski wódz zabity! Wzięliście już konie!
Wróg wpadł na trop, urządza za wami pogoniel
Co tchu do swych okrętów uciekać!... Słyszycie?!...
Wróg idzie nawałnicą!... Precz! Ratować życie!...

Diomedes z zbroją Dolona, Odysseus zaś z końmi Rhezosa uciekają, ścigani przez strażę.

I. PÓLCHÓR.

Dalej! Dalej!
Wal go! wal go! wal go! wal!
Siecz go! siecz!
Pakuj miecz!
Pakuj stal!
Któż to? Któż?
Patrzenie! patrzenie! Mam go już!
Ha! Złodzieje!
Niech was zwieje!
W taki czas —
W noc zabierać spokój nam!
Nie pozwolić wojsku spać?!
Ku mnie, ku mnie wszyscy wraz!
Skąd się wziąłeś? Co za nać?
Co za cham?!...

ODYSSEUSZ.

Musisz wiedzieć? Za mą krzywdę jeszcze dziś cię spotka
[śmierć!

II. PÓLCHÓR.

Podaj hasło, bo inaczej w pierś ci tę wpakuję żerdź!

ODYSSEUS.

Stój! Bądź cicho! Uspokój się!

I. PÓLCHÓR.

Bić go! bić go! Ku mnie w cwał!

ODYSSEUS.

Co? Rhesosa chcecie ubić!

II. PÓLCHÓR.

Tego, co mnie ubić chciał!

ODYSSEUS.

Wstrzymaj-że się!...

I. PÓLCHÓR.

Ani myślę!

ODYSSEUS.

Druha ubić zamiar masz?

II. PÓLCHÓR.

Jakie hasło?

ODYSSEUS.

„Fojbos!“

I. PÓLCHÓR.

Owszem! Dać mu spokój! Człek to nasz!

II. PÓLCHÓR.

Nie wiesz, dokąd uszli oni?

ODYSSEUS.

Tędy, zda się! Tam, o! tam!

Dalej w pogoń!

I. PÓLCHÓR.

A na twogę zali nie uderzyć nam?

II. PÓLCHÓR.

Nie!... Bynajmniej!... Nie wypada czynić wrzasków

[w nocny czas.

Sprzymierzeńcy się pobudzą, znieawidzą za to nas!

CHÓR.

Cóż to był za człek?

Któż się bezczelnie pochwali,

Że oto z rąk moich zbiegł?

Kogóż wymienię —

O kimż przypuszczać ja mogę,

Że wśród szeregów i straży

Tej nocy wrażej

Tak umiał dziś zmylić nam drogę

Nieustraszenie?

Czy on z Tessalji?

Czy też lokryjskie uprawia wybrzeże?

Czy rozprószonych wysp zamieszkał łąd?

Na naszą ziemię skąd on przybył? Skąd?

Z jakich ojczystych pojawił się smug?

W jakiej wychował się wierze?

I jaki też dla niego najwyższy jest bóg?

I. PÓLCHÓR.

Ha! Kto to mógł urządzić? Odyszej jedyny —

Przypuszczać tak mi każą inne jego czyny.

II. PÓLCHÓR.

Tak myślisz?

I. PÓLCHÓR.

Przez

Nie miałbym myśleć tak?

II. PÓLCHÓR..

Odwagi zuchwalej, to jasna jest rzecz,

Nigdy nie było mu brak!

I. PÓLCHÓR.

On z ludzi

W tobie ten podziw budzi?

II. PÓLCHÓR.

Tak, on, Odyszej!...

I. PÓLCHÓR.

Oreża

Ty nie chwal złodziejskiego, co chyłkiem zwycięża!...

*

CHÓR.

Już on się wprzód

Z twarzą, obrzękłą srodze,,

W trojański wcisnął gród.

W te nasze mury

Wtargnął w postaci żebraka,

W strzępy li naodziany,

W nędzne łachmany!

Na głowie nieczystość wszelaka,

Brud mu ze skóry

Kapał. Po drodze
Proszalnym żywił się chlebem,
Zasię pod płaszczem chytry skrywał miecz,
A o Atrydach taką prawil rzecz,
Jakby mu zdawna każdy wrogiem był.
Nim stanął pod Frygji niebem,
Przez los go sprawiedliwy nie powalił w pył?!

I. PÓLCHÓR.

Odysej, czy kto inny, przecież ja się trwożę,
Że Hektor wszelką winę na straż zwalić może.

II. PÓLCHÓR.

Dlaczego? Mów!

I. PÓLCHÓR.

Z bólu ukarze nas.

II. PÓLCHÓR.

Skąd ta obawa? Skąd trwoga ta znów?
Cóż to się stało w ten czas?

I. PÓLCHÓR.

Toć przecie
Napadli na nas, jak wiecie —

II. PÓLCHÓR.

Kto napadł? Mówcie —

I. PÓLCHÓR.

Wszak gości
Mieliśmy złych w obozie wśród nocnych ciemności.

* * *

Jawi się

POWOŻNIK RHESOSA.

Ojej!

Ciężki nas dotknął los!

Ten cios! ten cios!

CHÓR.

Sza! Każdy baczenie miej!

Sza! Przykucnijcie do ziemi!

Łatwo tu może nawinąć się wróg!

POWOŻNIK.

Ojej! Ojej!

Brzemiony ciężkimi

Los Traków zmógł!

CHÓR.

Któż z sprzymierzonych tak jęczy?

POWOŻNIK.

Ach!

To ja się gubię w łzach!

Nieszczęsny jestem i ty, władco Traków!

Z rodzinnych szlaków

Na swe nieszczęście przyszedłeś pod Troję,

Tak życie skończyło się twoje!...

PRZODOWNIK CHÓRU.

Kto jesteś z przymierzeńców? Gdyż w tym nocnym mroku

Nie dojrzą me źrenice, nie mam siły w oku.

POWOŹNIK.

Gdzie są trojańscy wodzowie?
Któż mi to powie,
Gdzie pod osłoną zbrojną Hektor leży?
Którego z naczelnych rycerzy
O kłesce tej zawiadomię,
Jak nas kryjomie
Ktoś napadł i znikł w cieniach nocy?
Los zgotowano nam Trakom sierocy!

PRZODOWNIK CHÓRU.

O ile wnosić mogę z tego, co słyszałem,
W nieszczęściu hufiec tracki pogrążon nie miałem.

POWOŹNIK.

Strach! Niema wojska, strach!
Zginął mój król,
Z rąk skrytobójczych padł!
Ach! Ach! Ach! Ach!
Jakiż to szarpie mnie ból
W tej ranie!...
Teraz mi rzucić świat!
Jakaż, o panie,
Śmiercią nikczemną
Szczeszłeś wraz ze mną,
Z pomocą swoją
Ledwie stanąwszy pod Troją!

PRZODOWNIK CHÓRU.

Nie w żadnych on zagadkach o kłesce powiada:
Z słów jego snać wyraźnie patrzy się zagłada.

POWOŹNIK.

Zło spadło na nas dzisiaj, lecz wielce niemiło
I hańba nas dotknęła... Więc się podwoiło
Nieszczęście... Śmierć chwalebna juści przykrą będzie
Dla czelaka, co umiera — inaczej w tym względzie
Snać myśleć nikt nie może —, natomiast rodzinie
Przynosi cześć i sławę. My padliśmy ninie
Bezradnie i bezsławnie — tak nam życie zgasiło!
Bo gdy nam legowisko, powiedziawszy hasło,
Wyznaczył ksiązę Hektor, umęczeni trudem,
Legliśmy wraz pokotem. Nikt nad naszym ludem
Nie czuwał, nikt nam straży nie postawił, bronie
Rzucono w nieporządku, wyprzagnięto konie,
Porozpinawszy guzy, gdyż mój pan miał wieści,
Że tuż się przy okrętach ten wasz obóz mieści,
Bo ponoć zwycięzcami jesteście. Spokojnie
Spaliliśmy więc, legnąwszy. Ale ja, o wojnie
Myślący o tym boju, który stoczyć chciano
Zbudziłem się, by koniom, co pójść miały rano
Do walki, dać obroku — dałem go do syta.
I wtędym właśnie spostrzegł, jak nocą okryta
Skradała się ku leżom jakichś ludzi para,
To czając się, to znów się oddalając... „Wara!“
Krzyknąłem, „od obozu wara!“, przekonany,
Że jakieś się złodziejskie kręcą atamany
Z pomiędzy sprzymierzeńców. Ci na to ni słowa.
I ja też nic nie rzekłem i usnąłem z nowa,
Lecz we śnie takie mi się zjawilo widziadlo:
Na konie, którem chował, którymi wypadło
Powozić mi przy boku Rhesosa — tak oczy
Widziały moje we śnie — wilk za wilkiem wskoczy
I, niby ostrym biczem, siekąc je ogonem,

Do biegu je popędza... A konie w strwożonym
Swem cielsku strasznie dysząc, w szal popadły taki,
Że grzywa im się zjeży. Budzę się, rumaki
Uwolnić chcę od wilków, a wtem przykre słyszę
Rżenie — snąc konali moi towarzysze.
I, widzę, pan mój, z śmiercią się pasując, leży,
Krwi z boku jego trysnął na mnie strumień świeży.
Zerwawszy się z posłania, wraz wyciągnę rękę
Po włócznię, gdy wtem czuję, jak straszliwą mękę
Zadaje mi ktoś mieczem, tnąc mnie tu, w nadbrzusze.
Po onem uderzeniu już ja wyznać muszę,
Że siłacz to był wielki — widać to na oko!
Tak straszny cios wymierzył, tak mnie ciał głęboko —
Na wznak padłem na ziemię. A oni tej chwili,
Porwawszy zaprzęg koni, precz się ulotnili.
Okrutnie rana piecze, nie ustoją nogi!
Widziałem to nieszczęście, lecz kto im ten srogi
Cios zadał, z czyjej ręki zginęli ci zmarli,
Wzdyc nie wiem. Myślę przecie, że ich nam wydarli
Nie wrodzy, tylko nasi własni przyjaciele.

PRZODOWNIK CHÓRU.

Trackiego księcia giermku! Spotkało cię wiele
Nieszczęścia! Lecz się nie martw, że nie wróg to sprawił.
O klęsce wie już Hektor i wraz się pojawił
Przed nami. Dola twoja bardzo go obchodzi!...

HEKTOR (do Chóru).

Jak mógł was tak oszukać pierwszy lepszy złodziej,
Przez wroga szpieg nasłany? Jak mógł hufiec cały
Wygladzić? Zali oczy wasze nie widziały,
Jak przyszli i jak poszli, żeście ich wy, klęski

Tej sprawcy, nie ubili?!... Któż, płodzie niemęski,
Zapłaci mi za srom ten, prócz ciebie? Toć strażę
Nad wojskiem poruczonąś miał, a ci zbrodniarze
Uciekli tak bezkarnie, mieczem ani tknięci,
I teraz sobie szydzą, szydzą najzawzięcej
Z tchórzostwa frygijskiego, a i z wodza, ze mnie!
Lecz wiedz to — na Zeusa klnę się niedaremnie,
Że zginiesz mi od knuta, czy też od topora,
Lub podłcem albo zerem świat nazwie Hektora!

CHÓR.

Ajaj!

Ileż spłodziłem ja bólu,

Ileż cierpienia,

Gdym wieść ci przyniósł, potężny ty królu,

Że statki achajskie płoną!

Przez całą, ciężką noc

Jam bez wytchnienia

Z znużoną

Czuwał powieką, ni cienia

Spokoju nie mając wcale!

Na one fale

Simoisowe zaklinam się, książę:

Nie! Nie przezemnie polala się krew,

Niech, mnie nie ściga twój gniew!

Jeżeli czynem zawinić ja zdązę

Lub słowem przeciwko tobie,

Żywcem pochowaj mnie w grobie!

POWOŹNIK.

Dlaczego tym wygrażasz? Sztuczki masz gotowe,

Chcesz, obcy, mnie, obcemu, zamącić mą głowę!

Tyś sprawił to, nikt inny! Wskazują na ciebie
I ranni i umarli, których wnet pogrzebie
Ta ziemia. Słów ci długich i wykrętnych trzeba,
Ażeby wmówić w ludzi, że nie ty — na nieba! —
Zabiłeś przyjaciela, na jego rumaki
Chęć mając i dlatego na trojańskie szlaki
Wezwawszy go poprzódy! Usłuchał wezwania,
Pojawił się i zginął. Mniejsza się wylania
Parysa nieuczciwość, co shańbił gościnę,
Niż twa, coś zamordował sprzymierzeńca! Wine
Zapewne chcesz przypisać Argejczykom! Zali
Wydarzyłoby się mogło, iżby się dostali
Ku naszym tutaj leżom tak chylkiem, ukradkiem
Poprzez szeregi Trojan i nikt nie był świadkiem
Ich najścia? Z frygijskimi wszakże ty wojskami
Przed nami-ś się rozłożył!... Kto ranny? My sami!
Kto zginął z twoich ludzi, gdy nieprzyjaciele
Wtargnęli do obozu?... Ranni my, a wiele
Ócz naszych już nie ujrzy złotych blasków słońca!
Nikogo my z Achajów, ażeby do końca
Rzecz całą doprowadzić, o krwawe to dzieło
Obwiniać nie myślimy. Bo skądby się wzięło,
By w nocy do Rhesosa przyszli legowska
Wrogowie, by tak raptem napadli nań z bliska —
Czy może Bóg ich przywiódł, tych zbójów?... Toć przecie
O naszym nawet przyjściu nikt nie wiedział w świecie!
To szczere li wymyśli!

HEKTOR.

Takie długie lata

Niejeden sprzymierzeniec już się z nami brata —
Od czasu, kiedy Grecy w naszym siedzą kraju,

A jednak do tej pory nie było w zwyczaju
Posądzać nas o zbrodnię, jak twój język prędko
To czyni dzisiaj pierwszy. Nie mam takiej chętki
Na konie, abym dla nich chciał zabijać druhy.
To dzieło Odysseja!... I na to ja głuchy,
By inny z Achejczyków mógł podobną sprawę
Wymyśleć i wykonać. Żywię też obawę,
Czy Chytrea gdzie nie spotkał i nie ubił w drodze:
Nie wraca, choć stąd poszedł już tak dawno srode.

POWOŹNIK.

Co zacz jest ten Odyssej, nie wiem, lecz powtórzę:
Nie w wrogu tak straszliwą znaleźliśmy burzę.

HEKTOR.

Jeżeli-ć tak się zdaje, owszem, myśl to sobie.

POWOŹNIK.

O, chciałbym ja, umarłszy, lec w ojczystym grobie!

HEKTOR.

O, nie umieraj! Trupów dość zaległo niwy!

POWOŹNIK.

A gdzie ja się bez pana udam nieszczęśliwy?!

HEKTOR.

Mój dom da ci przytułek. Tam ulżysz swej męce.

POWOŹNIK.

Co? Miałbyżby zbójeckie pocieszać mnie ręce?

HEKTOR.

Wciąż jedno i to samo powtarzać mi będzie!

POWOŻNIK.

Niech zginie, kto to zrobił!... Choć zawsze i wszędzie
Chelpliwy-ś, dam ci spokój... Sprawcę znają nieba.

HEKTOR.

Hej! Zabrać go, do domu zaprowadzić, chleba
Nie skąpić i opieki, aby nas jakowy
Nie spotkał kiedy zarzut... A wy z memi słowy
Do miasta zaraz idźcie, niech Rada usłyszy
I Priam, co się stało i niech towarzyszy
Zabitych każą złożyć do grobu wzdłuż drogi...

CHÓR.

Dlaczego w sposób tak wrogi
Zmienił się znowu Bóg
I zamiast dalej powieść do wspaniałej,
Zwycięskiej chwały
Trojański gród,
W nowy go spycha trud?
Jakież on żywi zamysły?...
A wej! A wej!
Cóż to za kształty rozbłysły,
Królu, w przestrzeni tej?
Z niebiańskiej góry wysokiej,
Zmarłego męża świeże niosąc zwłoki,
Postać niebiańska splywa —
Trwoga przejmuje mnie żywa!...

MUZA.

Spojrzyjcie, Trojańczycy! Ja, co z siostry swemi
Do spółki zajmuję się sztuki uczonei,
Przybywam tu, bom syna zmarłego spostrzegła.
Zapłaci za to zbrodnia Odyssa przebiegła!
Stworzyłam tren i w tym trenie,
Przejęta wielką żalobą,
Płaczę nad tobą,
O, ty mameczki strapienie,
O, ty najśłodsze me dziecię!...
W co za nieszczęsną się drogę
Wybrales, na mą przestrogę
Nie uważając! Do Troi
Wbrew woli ruszyłeś mojej,
Wbrew ojca gorącej prośbie,
By takiej ulec koście!
Nic jego i moje słowo!
O głowo, ty luba głowo,
O głowo najdroższa na świecie!

PRZODOWNIK CHÓRU.

O ile człowiekowi obcemu się godzi,
I język mój wraz z twoim boleścią zawodzi.

*

MUZA.

Niech zginie plemię Ojneja!
Niechaj z nim razem przepada
Laertjada!
Wszak ma przez niego nadzieja,
Moja latorośl jedyna,

Skoszona dzisiaj, skoszona!
Niech szczególnie również i ona,
Helena, co z męża domu,
Niepomna hańby i sromu,
Z frygijskim kochankiem zbiegła!
Przez nią dziś klęska zaległa
Nad Troją! Ona to siła
Walecznych mężów zgubiła
I ciebie, mojego ach! syna!...
Za życia i po śmierci wielki mi do łona
Przelałeś żal i smutek, synu Filammona!
W twej pysze, która ciebie zgubiła, i w owej
Z Muzami waśni twojej powód był gotowy,
Że wziął odemnie życie ach! ten syn mój młody.
Albowiem brnąc przez rzeczne Strymonowe wody,
Zbliżyłam się niechcący do jego tam łoża
I tam mnie on zapłodnił. Muz drużyna boża
Szła wówczas razem ze mną do góry Pangaju,
Do ziemi zlatorodnej, ażeby w tym kraju,,
W muzyczne zbrojna sprzęty, śpiewne stoczyć boje
Z trakijskim Thamyrisem, co zuchwałstwo swoje
Przyplacił nam ślepotą. On, mistrz nad mistrzami,
Wysztychał naszą sztukę, spierając się z nami...
Zrodziwszy cię, me dziecię, wstydząc się utraty
Panieństwa i sióstr swoich, złożyłam cię laty
Onymi na dnie rzeki, w rodzicielskie fale.
I Strymon też, twój ojciec, nie pomyślał wcale,
By ludziom cię powierzyć, lecz na wychowanie
Źródlanym oddał pannom. I tak się to stanie,
Że, cudnie wyhodowan troski dziewczycami,
Zostałeś księciem Tracji, przedni na jej ziemi
Młodzieniec. Nie traciłam ja nigdy spokoju,

Ilekróć do jakiegoś wybierał się boju
Za własną swą ojczyznę. Trojańskiej wyprawy
Wzbraniałam, przeczuwając, że los cię tam krwawy
Dosięgnie. Hektorowi jednakże posłańce,
Starszyzny nalegania, które cię na szaniec
Wzywały natarczywie, stały się przyczyną,
Żeś poszedł w pomoc druhom. O, tyś jest jedyną
Winowajczynią klęski, Ateno! Nie spada
Ten zarzut na Tydeja plód, Laertjada
Nie winien tutaj również, jeno ty!... Wiem o tem!
A przecież z wszystkich grodów twój najdroższem złotem
Jest dla nas i najchętniej my, Muzy-siostrzyce,
Bawimy w twojej ziemi! Jej to tajemnicę
Obrzędów swoich zwierzył Orfej, brat siostrzany
Zmarłego, który zginął przez ciebie! O rany!
O bóle!... I Muzajos, ten twój ziomek święty,
Co dotarł, gdzie nikt inny nie dotarł, był wzięty
Na wychowanie przez nas i Fojba!... W nagrodę
Zmarłego oto syna trzymam zwłoki młode
W objęciach i narzekam!... To ci starczy może!...

PRZODOWNIK CHÓRU.

Falszywie zatem tracki powoźnik, Hektorze,
Spotwarzał nas, że myśmy ten mord uradzili.

HEKTOR..

Wiedziałem to... Nie trzeba było ani chwili
Tłómacza, by usłyszeć, iż go tu zdradziecki
Odysej tak śmiertelnie omotał. Lud grecki
Doskwierał nam, czyż mogłem uczynić inaczej,
Jak tylko sprzymierzeńca wezwać, czy nie raczy
Z pomocą przyjść?... Wezwałem... A nie tejsze pory

Powinien był nas wesprzeć, pojawić się skory
Ze swemi posiłkami, lecz dawniej... Nie mogę
Radować się, iż wkroczył na tę śmierci drogę.
A teraz sprawię pogrzeb godziwy: wspaniale
Z tysiącem szat kosztownych ciało jego spalę.
Ach! przyszedł jak przyjaciel, odchodzi tak marnie!

MUZA.

Nie! Ciemne łono ziemi śnać go nie zagarnie!
Oblubienica śmierci, córka Demetery,
Owocodajnej pani, mojej prośby szczerzej
Ulegnie i wypuści tę duszę. Jest moja
Dłużniczką! Niech pokaże, iż się śnać ostoja
W jej oczach przyjaciele Orfeja. Przyznaję,
Że dla mnie zmarł na zawsze. Albowiem w te kraje
Nie wróci, raz pozbawion promiennego słońca,
By z matką się zobaczyć. Będzie on, bez końca
W jaskiniach przemieszkując srebrodajnej niwy,
Li tamto widział światło, on, duch ludzki. Dziwy
Budzący u świadomych, będzie uważany
Za bóstwo, jak ów prorok Bakchosa u ściany
Pangajskiej... Lżejszy będzie mój smutek po skonie
Achilla, syna, świętej bogini, co tonie
Wód morskich zamieszkuje, bo i on też zginie.
Nasamprzód przecież tobie poświęcimy ninie
Swoj żal, a potem dziecku Tetydy, którego
Pallada nie ocali, tobie tyle złego
Sprawiwszy: taki grot ma Loksjasz w kołczanie!
Bolesny ty porodzie! Z ciebie narzekanie
Jest ludzkie! Więc kto dobrze rozważy to sobie,
Nie będzie rodził dzieci, nie chował ich w grobie!

PRZEWODNIK CHÓRU.

Żal matce pozostawmy, ty zasię, Hektorze,
Zarządzić racz, co czynić wypada w tej porze,
Albowiem już nad nami ranek się promieni.

HEKTOR.

Pospieszcie i powiedzcie, aby sprzymierzeni
Co tchu za broń chwycili! Jarzma włożyć godnie
Na karki swych rumaków, i w rękę pochodnie
Trzymając zapalone, czekać mi cierpliwie
Na surmy głos tyrseńskiej. Na bitewnej niwie
Za szykiem łamiąc szyki, będę im na pięty
Nastawał i żar głowni rzucę w ich okręty.
Nadzieję mam nie płoną, że to światło młode
Przyniesie naszej Troi szczęście i swobodę.

CHÓR.

Posłuszni królowi, orężem okryci,
Tym się rozkazem podzielmy z druhami!
Bóg jest nad nami,
On nas zwycięstwem zaszczycił!

KONIEC TOMU XV.

POSŁOWIE TOMU XV.

„BACHANTKI“,

jedyna zachowana tragedia grecka na tle mitu dionizyjskiego, najwierniejszy obraz kultu Dionysosa w starożytnej Helladzie. Mit o śmierci tebańskiego króla „Penteusza“, u którego zjawił się Dionysos, aby ukarać go za zabronienie ludności jego kultu, spotykamy już w Teogonji Hezjoda. Do dramatu wprowadził go pierwszy Ajschylos, w zaginionej trylogji dramatycznej, w której skład, jako część pierwsza, wchodzi tragedia „Penteusz“, jako druga „Bachantki“. Eurypides poszedł bez wątpienia za Ajschylosem. A więc utrącenie Dionysosa do więzienia, jako demoralizatora obyczajowości publicznej; cudowne wyzwoliny bożka podczas trzęsienia ziemi, zamierzona wyprawa zbrojna przeciw bachantkom, szal Penteusza. Natomiast oryginalnym pomysłem Eurypidesa jest rozszarpanie Penteusza przez własną matkę, córę Kadmosa, Agawę, dotkniętą szalem dionizyjskim.

W sztuce przeważa cudowność i mistycyzm, a nawet ekstatyczność, ta ostatnia szczególnie w pieśniach choralnych, które należą do najpiękniejszych w całej zachowanej twórczości Eurypidesa. Wielbiciel racjonalizmu, a nawet sceptyk religijny, uległ urokowi kultu dionizyjskiego, który jednak działał na niego raczej jako na artystę, na wyobraźnię poety i był poetycznym bodźcem natchnienia poetyckiego. Nie można przeto wnioskować stąd o nawrocie do religijności, jakkolwiek,

z drugiej strony, zupełnie brak w tej sztuce, tak zwykłego u tego poety, sceptycyzmu religijnego. Jakiegokolwiek tendencji trudno doszukać w „Bachantkach“, a już całkowicie brak jej elementu politycznego. Sztuka ta jest tworem prawdziwego natchnienia, a pod względem czystego, beztendancyjnego artyzmu, jednym z najwyższych w dramacie starogreckim.

To też nie pomogły zajadłe ataki genialnego komedjopisa, Arystofanesa w „Żabach“, na autora „Medei“ i „Jona“, skoro „Bachantki“, wystawione wkrótce potem, już po śmierci Eurypidesa, przez jego syna, uzyskały na scenie ateńskiej pierwszą nagrodę. Cieszyły się i nadal ogromnem powodzeniem, tak w Grecji, gdzie czytano je nawet w szkole, jak i w Rzymie, cytowane przez poetów i retorów.

Średniowieczny dramat religijny „Chrystus cierpiący“, jest swobodną przeróbką z „Bakchantek“.

„RHESOS“

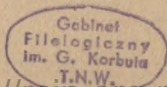
tragedja, przedstawiająca skrytobójczy mord, dokonany przez Odyseusza i Diomedesa na sojuszniku trojańskim Rhesosie, synu trackiego bożka rzeczno, Strymona i muzy Klio, znaleziona w rękopisach Eurypidesa, byłaby 18-tą z rzędu zachowaną sztuką tego poety, gdyby autorstwo jej nie było mocno wątpliwe. Już w starożytności uważano ją za nieautentyczną, a nowsze badania wykazały w niej raczej manjerę sofoklesową. Być może, że autorem jej był jakiś naśladowca Sofoklesa, który przerobił swobodnie autentycznego „Rhesosa“ Eurypidesowego; ten atoli nie doszedł do naszych czasów.

Bogusław Butrymowicz.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63



K

334/13